

„Skandal! Nie do wiary!
Nic nas tak nie podnieca, jak czytanie o seksie innych,
więc wyobraźcie sobie, jak może być podniecające
czytanie o wyrzeczeniu się seksu przez młodą kobietę!”

ANNA MUCHA

htulua ypiania somej



Sophie Fontanel


AMBER

htulca
sypiania samej

Sophie Fontanel

Przekład
MONIKA SZYMANIAK



Od autorki

Przez długi okres, którego, prawdę mówiąc, nie chciałabym ani sytuować w czasie, ani mierzyć liczbą lat, dopuszczałam się chyba najgorszej niesubordynacji, jaką znają nasze czasy: nie miałam życia seksualnego. Nie wiem zresztą, czy to odpowiednie określenie, bo zmysłowość miała dla mnie wówczas kolosalne znaczenie, nawet jeśli swoje pragnienia zaspokajałam tylko w snach (za to jakich snach!), a zbliżenia przeżywałam tylko w marzeniach (za to jakich marzeniach!).

Dziś uświadamiam sobie, jakie było moje ówczesne życie. Nie było ono wcale nudne. Przeciwnie – było bogate i dokładnie takie, jakiego w tamtym czasie pragnęłam. Było też jednak niełatwe, a słowa, które teraz piszę, ciążyły mi wówczas jak ołów, tak bardzo wstydziłam się swojej odrębności, która była czymś jeszcze gorszym od inności. Wszyscy wiemy, że nawet ci, którzy są inni, mają swoje życie seksualne, rzeczy, które pokazują, odstępstwa, których bronią. Tymczasem my, osoby samotne – armia, która sama jest sobie najgorszym wrogiem, niezliczona, bo bojąca się ujawnić rzesza – instynktownie wyczuwamy, że jeśli przemówimy, czeka nas jeszcze gorszy ostracyzm. Że ludzie, którzy nas nie rozumieją, będą opowiadać o nas niestworzone rzeczy. Że zrobią z nas kozły ofiarne, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że lepiej doznawać nawet najbardziej przypadkowych rozkoszy, niż tak jak my wypaść poza nawias i nie mieć nic.

O tym niczym, które okazało się dla mnie zbawienne i które odkryło przede mną nieprzebrane bogactwa, o tym, czym jest pieśczość dla kogoś, kto nie jest przez nikogo pieśczone i kto sam nikogo nie pieści, o prześladowającej nas obsesji, która, jak słusznie się mówi, odbiera rozum, o zrezygnowanym tłumie, którego istnienie przeczuwam, o tych ludziach, których rozpoznaję w jednej chwili i dla których mam tyle czułości – postanowiłam napisać tę książkę.

Rozdział 1

Siedziałam oparta o poręcz krzeselkowej kolejki linowej, która wiozła mnie na górę, gdzie, jak przeczuwałam, niebo będzie błękitne, a mgła zniknie jak kozuch zdjęty z mleka; patrzyłam na jodły, szczyty górskie, nieskazitelne plamy koloru i myślałam: chcę właśnie takiego spokoju. To, czego wartość przecież dobrze znałam – niezrównane uczucie oczyszczenia, które daje seks – przestało mnie interesować. Nie chciałam więcej być brana i wytrąsana. Nie chciałam więcej ulegać. Zbyt często mówiłam „tak”. Nie brałam pod uwagę, że moje ciało pragnie spokoju.

Ponieważ byłam głucha na jego sygnały, protestowało coraz gwałtowniej. Ten wewnętrzny opór nasilił się przed moim wyjazdem w góry. W sytuacjach intymnych barykadowała się każda cząsteczka mojego ciała, a ja nie mogłam zupełnie nic na to poradzić. Miałam ciągle zaciśnięte pięści, choć zdobywałam się na wysiłek, żeby otworzyć leżącą na pościeli dłoń, ona i tak zaraz się zamykała. Przez całe tygodnie musiałam otwarcie odmawiać swojemu kochankowi. On się niecierpliwił. Ja się zmuszałam. Sądził, że dawałam, podczas gdy ja tylko przyzwalałam. Myślał, że ustępowałam, podczas gdy ja szukałam sposobu, żeby jak najszybciej mieć to za sobą. Stałam się marną zdobyczą dla kogoś, kto chciał wziąć mnie w posiadanie. Widziałam jego podejrzliwą minę. Zaczynał wątpić w wartość swojego trofeum. Przypominał człowieka, który podczas bójkę łapie swojego przeciwnika za kołnierz i zostaje z jego swetrem w rękę, podczas gdy tamten ucieka co sił w nogach, wymachując rękami.

Biegłam, biegłam co tchu, aż znalazłam się w tym ośrodku sportów zimowych. Zaraz po przyjeździe poszłam do sklepu i zamiast spodni narciarskich kupiłam sobie kombinezon; w tym trudnym do zdjęcia stroju czułam się bezpieczniej. Hotel znajdował się przy ostatniej stacji kolejki. Po szesnastej, gdy kolejka przestawała kursować, wszelkie życie tutaj zamierało. Było po sezonie: w hotelu mieszkały zaledwie trzy osoby, w tym ja i właściciel – Jonas. Jonas, który od dziecka uwielbiał Johnny’ego Hallydaya, obsłużył mnie przy dźwiękach przeboju *L’envie*.

Ostrzegł mnie:

– W górach człowiek staje się defetystą.

Nie obchodziło go czyste powietrze. Żalił się, że na tej wysokości właściwie nie widuje kobiet: gdy chce gdzieś wieczorem wyjść, wsiada na skuter śnieżny, a potem wraca w egipskich ciemnościach, dziesięć razy bardziej samotny, a do tego jeszcze pijany i przemarznięty. Nie rozumiałam jego niezadowolenia. Pomyślałam sobie, że wiele bym dała, żeby móc jak on być z dala od innych. Śpiewać *L'envie*, patrząc w horyzont. A za jedynego towarzysza mieć skrzypiący śnieg. Jonas najwyraźniej nie widział tego w ten sposób. Od trzech lat żył bez kobiety.

– Zaczyna mi odbijać – oznajmił, dorzucając do kominka trzy polana naraz (więcej niż było potrzeba). Palenie ognia było dla niego odtrutką na monotonię. Pierwszego wieczoru powiedział mi kilka komplementów. Nagle uświadomiłam sobie, że jesteśmy tutaj całkiem sami. Był mężczyzną o atletycznej budowie, służył w szeregach strzelców alpejskich, miał ogorzałą twarz i jasne oczy górala. Jego skóra przy kołnierzyku była biała, nietknięta – gdybym chciała się bliżej przyjrzeć, na pewno by mi pozwolił. Odruchowo stwierdziłam, że mogłabym z nim to zrobić. Gdy tylko o tym pomyślałam, moje ciało zgłosiło sprzeciw. Wiedziałam, że się do niczego nie zmuszę, że wszystko się we mnie zablokowało. Przypomniałam sobie, jak kiedyś, rozwiązując krzyżówkę w „Le Monde”, za nic nie mogłam wydobyć z pamięci słowa „brona”. Teraz zaś samo przychodziło mi na myśl.

Zostawiłam Jonasa. Poszłam do swojego pokoju. Przypomniałam sobie Paryż, to, przed czym uciekłam, także tego wieczoru. Otworzyłam okno i spojrzałam w czerń nocy, za którą, jak wiedziałam, była najczystsza biel. Odetchnęłam. Śnieg wokół sprawił, że ujrzałam przed sobą ziemię obiecaną. Moje życie płynące spokojnie i miękko jak śnieżny puch. Wiedziałam, że nikomu więcej się nie dam.

Ktoś, kto się wyzwolił, ma przed sobą cały świat. Wiem, że zdarza się to ludziom nawet w wieku dziewięćdziesięciu lat. Już w czasach licealnych taka byłam: na zewnątrz się podporządkowywałam, wewnątrz miałam chęć uciec. Opuszczałam lekcje, których martwota powodowała, że wybierał we mnie ożywczy bunt. To straszne porównywać seks do

przymusowej nauki w szkole. Jestem świadoma, że skojarzenia z odrabianiem prac domowych, mozołem nauczania, szkolną nudą i podległością wobec nauczycieli nie świadczą o mnie najlepiej w kulturze, w której ludzie woleliby raczej umrzeć, niż się przyznać, że kiedykolwiek byli znużeni seksem. Owo zobojętnienie często mylone jest z niemocą. Tymczasem (i dotyczy to wielu osób) nie uprawiamy seksu nie dlatego, że nie możemy, lecz dlatego, że przestajemy się w nim odnajdywać. Zdobywamy nagrodę – przyjemność. A co potem? Wczorajsza nieodparta pokusa traci rację bytu. Gra przestaje być warta świeczki. Dlatego się oddalamy.

Powiedziałabym nawet, że przynosi to niesamowitą ulgę.

Po powrocie z gór moja twarz wypogodziła się w kilka tygodni. Znałam siebie i wiedziałam, że nie było to spowodowane tylko działaniem świeżego powietrza. W Paryżu, gdzie góry nie mogły już przecież wywierać swojego dobroczynnego wpływu, moja twarz nadal była pogodna, a nawet jeszcze nabrała blasku. Kiedy zobaczyłam się na jakimś zdjęciu, stwierdziłam, że wprost promienieję. Co za spotkanie mnie tak odmieniło? Z kim się widywałam, że moje oczy jaśniały pewnością siebie, a cera – szczęściem z odzyskanej wolności? Mojego kochanka, z którym umówiłam się wówczas po raz ostatni w kawiarni, żeby ratować to, czego nie dało się już uratować, moja radość zraniła bardziej niż najokrutniejsze słowa. Spostrzegł, że zaczęłam wyżej nosić głowę. Widziałam po jego zmarszczonych brwiach, że nie wie, czego się może teraz po mnie spodziewać: że stanę się dla niego groźniejszym przeciwnikiem niż dziewczica, że na przekór mojemu nowemu przyjemnemu wyrazowi twarzy zamknę się przed nim na cztery spusty jak autystka, czy też może (co by wszystko wyjaśniało), że zacznę się rozglądać za innym mężczyzną. Zlustrował mnie od stóp do głów, w dziesięć sekund zrobił bilans mojej metamorfozy i – było to dla niego jedyne możliwe wytłumaczenie – spytał, czy się zakochałam.

Nie tylko on zadał mi to pytanie. Także moja przyjaciółka Henrietta.

– Kto to jest? – zapytała, gdy tylko cała rozpromieniona, jak na skrzydłach wbiegłam do kawiarni. Gdy odnajdujemy samych siebie, inni myślą, że poznaliśmy kogoś nowego.

Wiem, kim była osoba, dla której wszystko rzuciłam. Odeszłam do dziewczyny, którą sama byłam przed laty. Miała trzynaście lat, ale wyglądała na szesnaście. Bóg obdarzył ją talentem do czytania, miała zostać pisarką. Na razie pochłaniała ją jednak coś innego. Marzyła o zmysłowości. Myśl o rozpiętej koszuli mężczyzny, zwłaszcza niebieskookiego, albo miejscu, w którym mężczyźni mają coś innego niż kobiety, coś, czego nie widać, burzyła jej krew. Przedwcześnie rozwinięta dziewczyna w lekkiej sukience. Przeczuwała, że w sprawach zmysłów niczego nie musimy się uczyć, bo wszystko wiemy od samego początku. Dlatego, choć była dopiero nastolatką, rozsadzała ją ciekawość. Spieszno jej było do inicjacji – rzecz jasna nie tej, zupełnie nieciekawej, którą przeżywała w parafialnym kościele. Musiały przecież istnieć inne, szatańskie uniesienia. Czekaając na nie, przeglądała się w lustrze. Stwierdzała, że ma szczęście, bo nie była piękna, za to smukła. O czymś jednak nie wiedziała: że jej cechą szczególną był wyzierający jej z oczu utajony mrok. Mężczyźni widzieli go od razu. Mężczyźni od razu widzieli, co chybotąło tą dziewczyną. Jak miał na imię ten, któremu pewnego dnia wpadła pod nogi i w oko, meksykański turysta ze słodką, okoloną lokami twarzą archanioła? Powiedział: *Tus ojos...*, co po hiszpańsku znaczy „Twoje oczy...”. To było w nocnym lokalu, do którego w jej wieku nie powinna rzecz jasna mieć prawa wstępu. Mało tego. Nie wolno jej było przecież nawet wychodzić wieczorami.

Spotkali się znowu następnego dnia, on chciał iść do muzeum. Była inteligentna, uspokajało ją więc, że był kulturalny. Musiał po coś wrócić do pokoju. Oczywiście, że chciała zobaczyć, jak wygląda luksusowy hotel. To było przy place de la Madeleine. Dla zabawy częściowo się rozebrał. Miał taki słodki, idealny tors. Lubił impresjonistów, no i był przystojny. Zahipnotyzowana czekała z nadzieją. Zdjął resztę ubrania i stanął przed nią nagi – nie posiadała się z radości: dokładnie tak to sobie zawsze wyobrażała. To było fantastyczne. Nie było czym się martwić: musiał nadejść dzień, kiedy wszystko się zdarzy.

Była trzynastolatką i przedsmak ją zachwycił – chciała na tym poprzestać. Pozostać z tym wrażeniem na kilka lat. Zrobiła ruch, żeby wstać z łóżka. Przytrzymał ją za nadgarstek. Powiedziała, że chce już

iść. Zaśmiał się głupio, łotrzykowato. Był od niej o dwadzieścia lat starszy.

– Mam dopiero trzynaście lat – tłumaczyła. Mimo swojej inteligencji była śmiesznie naiwna. Czego się spodziewała? Że podnieconemu do tego stopnia nieznanemu mężczyźnie, który następnego dnia miał wrócić do swojego kraju, wystarczy teoria bez praktyki?

Miałyśmy po piętnaście lat. Henrietta była najlepszą uczennicą w szkole. Czekala ją błyskotliwa kariera archeologa: za kilka lat będzie się przemykać przed kamerami BBC po starożytnych nekropoliach Aleksandrii. Rozłożyłyśmy się na jej rattanowym łóżku w mieszkaniu jej rodziców. Powtarzałyśmy łacinę. Właśnie skończyłyśmy grekę. Imponowało mi u niej to, że dzięki swojemu zamiłowaniu do nauki mogłaby właściwie mówić owymi martwymi językami, podczas gdy mnie ciągle sprawiały one trudności. Pamiętam, jak wodziła palcem po kompletnie dla mnie niezrozumiałych zdaniach z Tytusa Liwiusza. Odszyfrowywała je bez jednego zająknięcia, jak niewidomy czyta alfabet Braille'a. Tamtego dnia popisywała się płynnym tłumaczeniem fragmentu o drugiej wojnie punickiej. Być może trochę sobie ze mnie podkpiwała, bo umknął mi na przykład jakiś bijący po oczach genetivus. Robiła to jednak bez złośliwości, cieszyło ją po prostu, że wie więcej od innych. Postanowiłam utrzcć jej nosa. Odłożyłam na bok pracę z łaciny, wyraźnie zaznaczając, że przechodzimy do innych umiejętności, i powiedziałam prosto z mostu, że byłam z mężczyzną.

Efekt przeszedł moje oczekiwania. Nawet Henrietta musiała uznać wyższość miłości fizycznej nad łaciną. Była krótkowidzem i miała kompleksy na punkcie grubości swoich szkieł; dopiero oswajała się ze swoją kobiecością i czuła się niepewnie na tym gruncie. Nachyliła w moją stronę swój ledwo co ukształtowany biust:

– Opowiadaj. – Moja nagła przewaga zabiła mnie z tropu. – Chyba że nie chcesz? – dopytywała się.

Obawiała się, że po takiej zapowiedzi zechcę zachować dla siebie swoje tajemnice. Jak mogłam teraz, gdy udało mi się już zrobić wrażenie, najdobitniej dowieść swojej siły i najradykałniej zaznaczyć swoją opozycję wobec łaciny: milcząc czy mówiąc? Przez chwilę się nad

tym zastanawiałam, lecz chęć zwierzenia się choć jednej osobie, równie przemożna co inne podstawowe ludzkie potrzeby, wzięła górę. Po raz pierwszy opowiedziałam wtedy komuś o meksykańskim akcencie, wizycie w muzeum i hotelu przy place de la Madeleine oraz o tym, jak pociągające było ciało mężczyzny, jaka gładka była jego skóra na plecach i w innych miejscach, i jak okrutna jego obojętność wobec naszych obaw. Co do samego aktu, zaspokajając uzasadnioną ciekawość Henrietty, wyjaśniłam, że im bliżej dopuści się mężczyznę, tym trudniej go kontrolować. W pewnym momencie przestaje mieć wzgląd na cokolwiek, co gorsza zaś, trudno zdobyć się na odwagę, żeby go zmitygować.

Zwierzeń nikt nie podejrzewa o nieszczerłość. Henrietta milczała. Nagle ogarnięta paniką zaczęłam ją przekonywać, że tego chciałam, mimo wszystko. Takie było życie, a ja tylko odkryłam jeden z jego ukrytych aspektów. To przed tym – swoimi zakazami wychodzenia z domu, przemilczeniami, gwałtownymi reakcjami – próbowali nas ochronić rodzice. Wiedzieli, jaką prawdą się kończy dzieciństwo.

Miałam dwadzieścia lat i pierwszego poważnego chłopaka. Uważał mnie za niezastąpioną, choć doznał wielu rozkoszy, jeszcze zanim mnie poznał. Lubił to, jak można mnie było budzić w nocy. Nic mi nie przeszkadzało. Mógł w łóżku przekładać moją głowę z ręki do ręki, a ja, cała rozczochrana, nawet nie mrugnęłam okiem. Lubił mieć nade mną władzę. Pysnił się, że dostarcza mi niezwykłych wrażeń. Chodził po mieszkaniu, puszczając się z dumy jak paw. Na próżno jednak przybierał pozę zdobywcy: wystarczyło, że poprosił, żebym roztoczyła przed nim mój utajony mrok, a jego przewaga pryskała jak bańka mydlana. Złapał Kozak Tatarzyna... Próbował wówczas obrócić swoją prośbę w żart, żeby ukryć zawód, który sprawiała mu moja beznamiętność.

Wracałam z zajęć na Sorbonie. Oglądał w łóżku jeden z tych bzdurnych popołudniowych programów telewizyjnych – reportaż o przewodnikach psów. Na ekranie jakiś pułkownik straży pożarnej twierdził, że najzdradliwsze wcale nie są psy, które byśmy o to podejrzewali. Podczas interwencji największy postrach sieje pies, który ujada. Tak naprawdę jednak nie jest niebezpieczny. Próbuje tylko z daleka pokazać, jaki jest groźny, komuś, kogo i tak nie zdołałby

dosięgnąć lub kto zdążyłby zareagować bądź go obłaskawić. Za to pies, który stoi bez ruchu, z niewzruszonym spokojem, macha ogonem, nie warczy, jeśli podejść do niego na odległość pięciu metrów, nie warczy nawet, jeśli zbliżyć się do niego na dwa centymetry, tylko wyciąga przyjaźnie pysk, wita się, trącąc wilgotnym nosem wierzch dłoni, kładzie się na grzbiecie, przemyka oczy, jeśli podrapać go po łbie, rozkoszuje się pieszczotą, pozwala się powąchać, zanurzyć twarz w swojej orzechowej sierści, podnieść sobie wargi w komicznym uśmiechu – ten właśnie pies, jeśli przypadkiem dotknąć niewinnego punktu na jego zadzie, potrafi w jednej chwili odwrócić się i odgryźć policzek.

Pokazano zdjęcie jakiegoś z pozoru nieszkodliwego psa – dalmatynki. W kontekście tego, co powiedziano przed chwilą, jej dobroduszny wygląd wywoływał ciarki na plecach. Mój chłopak stwierdził, że to niewiarygodne: suka nie odróżniała się niczym od innych psów. Wydawała się taka wytworna w swoim pięknym, cętkowanym umaszczeniu. Nie mógł uwierzyć, że tak młode i zgrabne stworzenie może być wrogo nastawione do ludzi. Opadł z powrotem na poduszki i powiedział:

– Jak dobrze, że to nie mój pies!

Skinął na mnie, poklepując prześcieradło. Zawahałam się. Gdy tylko zobaczyłam tę dalmatynkę, wiedziałam, że to ja.

Od pobytu w górach tylko czekałam na okazję, żeby się wyrwać z Paryża. Stale brakowało mi powietrza. Podczas jednej z takich wypraw (w okolicy miejscowości Manosque, w Alpach Górnej Prowansji) pewnego ranka, kiedy szczególnie optymistycznie patrzyłam w przyszłość, dowiedziałam się, że niedaleko mojej wioski pewna gospodyni sprzedaje czystą wełnę. Zapraǳnęłam ją od niej kupić. Zapakowałam się więc do kabrioletu i z lekkim sercem ruszyłam w drogę.

Nie mogłam jednak znaleźć gospodarstwa tej kobiety. Kolejne wiejskie drogi, które mi wskazywano, zamiast do rozwidleń prowadziły do rozsypujących się kamiennych murków. Ostatnią z nich wjechałam na wzgórze o płaskim wierzchołku. Rosło na nim mnóstwo polnych kwiatów – nie mogłam jechać dalej. Byłam straszliwie zawiedziona, że nie udało mi się znaleźć gospodarstwa i kupić wełny. Wystarczyło

drobne niepowodzenie, żeby osłabić moje morale. Uciekinier robi dramat z najmniejszej nawet przeszkody. Tak bardzo się boi, że będzie musiał wrócić do więzienia. Chciałam władzy absolutnej – sądziłam, że bez niej nie uda mi się wyjść poza schemat. Nic nie mogło mnie zatrzymać. Cóż mi po wolności, skoro nie mogę mieć wszystkiego, co chcę? Zawzięcie jechałam dalej. Nie spodobało mi się, że droga znów okazała się ślepym zaułkiem. Ożyły wspomnienia. Starożytne pismo, wytarte z pergaminu, znów staje się widoczne w odpowiednim świetle.

Przez długi czas zbywałam swoje pragnienia. W hotelu przy place de la Madeleine być może zabrakło mi czasu do namysłu. Ale później, kiedy raz po raz hołdowałam bylejakości? Moja biedna ziemską powłoka była ze mną przez cały czas i ponosiła realne straty. Pamiętam nieustającą niewygodę, którą znosiłam w tamtych latach, bolały mnie plecy, uciekałam w chorobę, byłam wiecznie zmęczona. To były sygnały ostrzegawcze. Pewnego razu lekarz spojrział na mnie spod brwi i zwrócił się do mojego drugiego ja, jakby się spodziewał, że to ono będzie bardziej zainteresowane i skłonne do ustępstw: „Trzeba słuchać swojego ciała”. Serce załomotało mi w klatce piersiowej. Nie rozumiałam, co próbuje mi powiedzieć ten badający mnie już całe czterdzieści minut (czyli dwa razy dłużej niż innych pacjentów) lekarz. Na każdej kolejnej wizycie mediował między moim ciałem a mną. Leczył mnie całymi tygodniami. Gdy tylko jednak czułam się nieco lepiej, znowu o sobie zapominałam. Znowu można mnie było poszturchiwać.

Jak moje ciało mogło mi ufać, skoro tak szorstko się z nim obchodziłam? Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać: skurcz uda zmusił mnie do wyjścia z samochodu. Poszłam na łąkę maków rozprostować nogi. U stóp miałam tysiące kwiatów, tysiące pszczół. Szłam przed siebie, wiedziona jakąś energią. Wkrótce zewsząd otaczały mnie kwiaty. Skurcz ustąpił, a moje ciało mruczało z zadowolenia. Ono i ja byliśmy wreszcie jednym – doskonałym owadem.

Rozdział 2

Czy kiedykolwiek byłam szczęśliwsza niż podczas tych pierwszych miesięcy wytchnienia? Brałam kąpiele w lawendowym mleku. Japończycy sprzedają pachnący proszek, który barwi wodę na biało. Kiedy wsypywałam do wanny zawartość saszetki, rozkoszowałam się aksamitnością powstałej cieczy i zanurzałam w niej swoje ciało, miałam wrażenie, że raduje się ze mną nie wiem jakie bóstwo. Wcześniej woda służyła mi wyłącznie do celów praktycznych. Wskakiwałam na przykład pod prysznic, żeby się pozbyć czyjejś obecności po tym, jak kolejny raz dałam się nabrać. Mydło łagodziło następstwa tego, że nigdy nie mówiłam „nie” ani „później”, co było przyczyną mojej frustracji. Stałam w malutkiej kabinie z plecami opartymi o kafelki o wiele dłużej, niż nakazywał rozsądek – byłam wyczerpana.

Za to teraz... Leżałam cała zatopiona w mleku, tak że wystawała mi tylko głowa. Moje odprężone ciało pozwalało wodzie się unosić, jego najbardziej wymowne części majaczyły tuż pod opalizującą powierzchnią, moje piersi wynurzały się, przypominając boje wydzielające strefę ludzkiej obecności wzdłuż morskiego brzegu. Pod tymi znakami sygnalizacyjnymi znajdowałam się ja – żywa istota. W miarę jak osiągałam stan coraz głębszego relaksu, zaczynała się podnosić inna ważna część mojego ciała, teraz już nienękana. Pod biodrami czułam delikatnie dźwigającą mnie ku górze dłoń czarodzieja. Jeszcze dziś potrafiłabym wskazać palcem na rysunku, którądy rozchodziła się wolność po moim ciele, takie to było wyraźne uczucie. Byłam pełna ufności. Cieszyłam się, że umknęłam niebezpieczeństwu. Że nikomu się nie dam. Że niczego nie muszę oddawać. Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak lewitacja, to ja właśnie lewitowałam.

W nocy przyciskałam do piersi poduszkę, zupełnie tak, jakby była leżącym obok człowiekiem. Obchodziłam się z nią tak delikatnie, jakby była kimś, komu nie chciałabym wyrządzić najmniejszej krzywdy. Oślaniałam ją swoim ciałem – musiano by ją wydrzeć z moich ramion, żeby mi ją odebrać. Czy ośmieliłabym się powiedzieć, że ją obejmowałam? Powierzałam się plecom wymyślonego przez siebie

mężczyzny, wciskałam czoło między jego łopatki, otaczałam go sobą. A on tam z przodu trzymał mnie za ręce. Poruszał się powoli, tak lekko, że mogłabym przysiąc, że tylko oddychał. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że mnie kołysał. Jak sobie radził ze swoimi pragnieniami? Nie miałam pojęcia. Moim pragnieniem było czekać. Mógł się odwrócić, przygnieść mnie swoim ogromem. Na razie jednak nie miałam się czego obawiać.

Byłam szczęśliwa. A jak wiadomo, kiedy jesteśmy szczęśliwi, szukamy wokół kogoś, komu moglibyśmy o tym powiedzieć. Byłam tak zachłyśnięta swoim odkryciem, że nie widziałam żadnego powodu, dla którego nie miałabym się nim podzielić z innymi. Zwierzyłam się przyjacielowi moich rodziców, Axelowi. Łączyła mnie z nim szczególna więź. Kiedy byłam dzieckiem, jako jeden z niewielu dorosłych brał na poważnie mój zamiar zostania pisarką. Jako jeden z niewielu namawiał mnie też, żebym robiła różne rzeczy sama. Wtedy miał na myśli podróżowanie. Teraz także chodziło o obywanie się bez cudzego towarzystwa.

Co do poduszki, przyznał, że on także to robi. Nie tylko tuli w ramionach swój wałek do spania, lecz także szepcze do niego imię swojej utraconej ukochanej, Maliki. Pewnego dnia się złamał i opowiedział swoim przyjaciółom o tym, co robi w nocy. Odpłacili mu jednak za jego szczerą litością połączoną z niesmakiem. Wiedział zatem doskonale, co mówi, odradzając mi tego rodzaju zwierzenia.

– Są granice tego, co ludzie mogą usłyszeć – podsumował. Nie znalazł zrozumienia u żadnego z przyjaciół. Do tego zbrukał swoją świętość. Wszystko, co rozdajemy, topnieje. Dla nich był tylko niesparowanym mężczyzną, banitą w pościeli, ciałem, które wypadło z obiegu, wykrzywionym i żalonym.

Zaprotestowałam:

– Ale Axel, przecież to właśnie ty mnie uczyłeś, że w każdym czasie i we wszystkich kulturach jest miejsce na inność.

Pokręcił ze smutkiem głową.

– Wierz mi, w naszym przypadku lepiej wychodzi się na milczeniu.

W radiu jakiś lekarz twierdził, że im częściej się kochamy, tym lepsi się stajemy w innych dziedzinach. Wybuchnęłam śmiechem. Moje

rozbawienie zupełnie go nie zraziło: dalej recytował swoje wyznanie wiary. Porównywał ciało ludzkie do maszyny, takiej jak na przykład metro w Tajpej na Tajwanie. Kilka lat temu stwierdzono, że betonowe słupy podpierające nowo wybudowane wiadukty na odcinkach, gdzie biegło ono nad ziemią, były wadliwe. Mimo to metro kursowało dzień i noc, tyle że bez pasażerów, inaczej by zardzewiało. Podobna groźba wisi rzekomo nad ciałem. Nieużywane popada w ruinę.

Słuchacze audycji mogli dzwonić i opowiadać o swoich doświadczeniach. Wykręciłam numer. O wiele szybciej niż się spodziewałam, usłyszałam w słuchawce głos telefonisty, który spytał, jakie jest moje zdanie. Powiedziałam, że wszystko się we mnie gotuje (oczywiście nie z jego powodu). Że kłamliwa, ultranowoczesna propaganda jest w dzisiejszych czasach wszechobecna, ale, być może naiwnie, nie spodziewałam się jej znaleźć na tej antenie, w przyzwoitej audycji radiowej. Że cała ta teoria, że im częściej się kochamy, tym stajemy się lepsi, jest fałszywa. A święty Franciszek z Asyżu? Matka Teresa? Dalajlama? Budda? Co, jeśli nasz partner w dzień zachowuje się wobec nas nieznośnie i wrogo, lekceważy nasze uczucia, poniża nas w obecności innych osób, ma nam za złe, że w ogóle oddychamy, a w nocy szuka łatwej ugody? Robimy to wówczas wbrew sobie, tak naprawdę go nienawidząc. Czy wtedy też jest to dobre dla zdrowia?

– Dlaczego seks miałby być wartością samą w sobie? – spytałam. – Ludzie mają tak różne usposobienia, tak różne sytuacje życiowe. Staną się lepsi, jeśli nie uwierzą w ani jedno uczone słowo tego lekarza. – Zostawcie ludziom ich skarb – zaapelowałam. – Ich nieuchwytną równowagę. – Słowo „nieuchwytna” wypowiedziałam z naciskiem. – Dlatego zresztą nie ma dobrego określenia opisującego sytuację ludzi, którzy postanowili czekać na seks. „Celibat” nie jest odpowiednim słowem. „Abstynencja” także nie. Ani „aseksualność”. Dlatego koniec. Przestańcie pleść androny.

Telefonista był młody (słysząc było po głosie). Odpowiedział, że niezmiernie mu przykro, ale moja wypowiedź była zbyt skomplikowana i nie może puścić jej na antenie. Przeprosił i wyraził nadzieję, że miło spędziłam z nimi czas. Podarował mi też jako wiernej słuchaczce zestaw kosmetyków do makijażu firmy Clinique.

Jechałam samochodem wzdłuż Sekwany. Po prawej stronie, za murkiem, płynęła rzeka. Po lewej opadały tarasami ku nabrzeżu ogrody Tuileries. Przestraszył mnie tak, że aż podskoczyłam. Przejechał tuż obok i dotknął palcami maski mojego samochodu. Młody mężczyzna na rolkach. Miał na sobie sweter, który chronił go przed przejmującym, kwietniowym chłodem. Gruby golf z kremowej wełny w irlandzkim stylu. Podwinięte rękawy, na rękach karmelowe skórzane rękawiczki. Kołysał biodrami w zbyt opiętych džinsach – tak zręcznemu rolkarzowi można było wybaczyć narcyzm. Jechaliśmy prawie z jednakową prędkością: ja – z powodu korków, on – dzięki ruchowi, w który wprawiał swoje ciało. Patrząc, jak zygzakiem sunie między samochodami, nie mogłam przestać myśleć o ryzyku, na które się narażał. Moim zdaniem jechał nieostrożnie. Co by było, gdyby przez nieuwagę powinęła mu się noga? Gdyby jak długi runął na ziemię w tych swoich rolkach? Domyślałam się jednak po jego giętkich plecach, że niewiele sobie robił z moich niepokojów. To nie rolkom ani gładkiej nawierzchni zawdzięczał przecież prędkość, tylko własnemu przekonaniu. Kiedy uczepiał się palcami jakiegoś wielkiego samochodu, jechał właściwie na jednej nodze, pozwalając mu się ciągnąć. Zamiast uważać, demonstrował, jak pewnie się trzyma na nogach. Potem się puszczał, podniesiona stopa powracała na ziemię, całym ciałem radośnie brał kolejny zakręt i wężowatym ruchem mknął w kierunku następnych samochodów. Ja musiałam zatrzymać się na światłach. On pojechał dalej, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Żeby nabrać większej prędkości, pochylił się do przodu, założył ręce na plecach jak wałka skrzydła i mignął rękawiczkami na do widzenia – nam wszystkim, którzy zostaliśmy w tyle, oraz wszelkim zakazom.

Najwyraźniej można się było różnić od innych.

Popołudniowy seans filmowy w Paryżu. Do kina w centrum kulturalnym Lucernaire chodziłam trzy razy w tygodniu. Na sali nigdy nie było więcej niż dziesięć osób. Tego dnia zaś byłam zupełnie sama – aż się odwróciłam i w odruchu solidarności skinęłam przyjaźnie do niewidocznego kinooperatora. Wyświetlano *Trzy dni Kondora* Sydneya Pollacka. Robert Redford właśnie wychodzi z biura (placówki CIA) po kanapki. Kiedy wraca w swoim granatowym płaszczu z prowiantem pod

pachą, jego koledzy już leżą martwi, podziurawieni kulami. Wie, że miał zostać zamordowany, tak jak pozostali, że stanowi zagrożenie, że go znajdą, że musi uciekać. Ryzykując głowę, znika za rogiem.

Można oczywiście oglądać ten film na tysiąc różnych sposobów, lecz czy kobiety kochające rzeczywistych mężczyzn są gotowe spotkać się z Robertem Redfordem? Wiem, że coś niecoś wynoszą, że trochę korzystają. Nigdy jednak nie idą dalej. Dla nich to tylko film. Bo Robert Redford przychodzi tylko wtedy, gdy nie masz zupełnie nic. Musisz pójść do kina w centrum kulturalnym Lucernaire, zaszyć się bezpiecznie w fotelu i we własnym cieple i położyć otwarte, bezbronne dłonie na kolanach; całą sobą łakniesz iluzji, w ostatnim czasie obcowałeś wyłącznie z pięknem, film jest dla ciebie prawdziwym lucernarium (lucernaria to otwory doprowadzające światło do katakumb), możesz oddawać się miłości w kompletnym bezruchu, jesteś makiem (pamiętasz?), więc do rozkwitnięcia potrzebujesz tylko odrobiny wody, chwytasz fluidy Roberta Redforda, przemieniasz je w magiczny napój i... już, on naprawdę cię widzi.

Gdyby podszedł do mnie na imprezie, miałabym się na baczności. Zastanawiałabym się, czego ode mnie chce. Chyba, a nawet na pewno, bym się przestraszyła. Siedziałam jednak w kinie, tysiące kilometrów od fizycznego ciała Roberta Redforda. Miałam przed sobą jego esencję. Oboje zrzuciliśmy ziemską powłokę i zmartwychwstaliśmy w rajku kina Lucernaire. Mógł mnie unieść ze sobą w załamkach swojej chropowatej skóry. Patrzyłam na nierówności na jego twarzy i myślałam sobie: Jeśli sytuacja się rozwinie, to będą moje punkty zaczepienia.

Cuda się zdarzają: kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe i w ciemnościach podniosłam się z fotela, Robert Redford położył rękę na moim ramieniu i zaproponował mi czwarty dzień Kondora. Tak po prostu. Domyślił się. Zarzuciłam rękę na jego piękną, ocalałą blond szyję, mając nadzieję, że kinooperator, nawet jeśli na mnie patrzy, pomyśli sobie, że spoglądam na zegarek.

Rozdział 3

Mój ojciec miał kuzyna, księdza, który miał na imię Charles. Każdego lata spędzał z nami tydzień na Lazurowym Wybrzeżu. Należał do światłego zakonu dominikanów. Gdy szedł po chleb, kupował dziennik „Le Monde”. Prowadził głębokie rozmowy z moim ojcem, który wychodził z nich z uwzniośloną twarzą. Mój ojciec był niewierzący. Ani moja matka, ani mój brat, ani ja, nigdy się nie dowiedzieliśmy, o czym rozmawiali. Najniezwyklejszą rzeczą podczas tych wakacji nie było jednak to, że wdawali się w owe tajemnicze dysputy, tylko fakt, że Charles przechadzał się po przystani w Saint-Tropez w bokserkach. Fakt ten był zupełnie nieznaczący dla większości ludzi, którzy nie wiedzieli, że Charles jest księdzem. Na osobach z wąskiego kręgu znajomych moich rodziców robił on jednak piorunujące wrażenie. Ksiądz w kąpielówkach, sługa boży z krwi i kości, do tego należący do naszego grona, do naszej rodziny, ogromnie podnosił nasz prestiż w oczach innych plażowiczów. Kiedy przyjeżdżał, stawaliśmy się kimś w rodzaju gwiazd. Ponieważ Charles w swojej świętości nie posuwał się aż do abstynencji alkoholowej, jego obecność wiązała się z popijaniem licznych aperitifów przed kolacją. Z początku był bardzo zasadniczy, lecz pod wpływem alkoholu się rozluźniał i skupiał na sobie uwagę wszystkich. Perorował. Miał tyle do powiedzenia jako duszpasterz pracujący w więzieniu na północy Francji. Wcześniej piastował wysokie stanowisko w Banque de France, ale rzucił swoją prestiżową pracę i zatrudnił się w kopalni węgla, a później w przedzalni. Wierzył w człowieka, podczas gdy my już dawno opuściliśmy ręce. Nikogo nie zadręczał Bogiem, nie chciał bowiem „zrażać do siebie ateistów”. Taktownie nie afiszował się ze swoją wiarą, zastrzegał, że to wyłącznie jego problem, choć naprawdę tak nie uważał.

Wszystkie te korowody były jednak zupełnie zbyteczne. Biedny Charles! To nie tego oczekiwało od niego towarzystwo. Za każdym razem delikatnie naprowadzano go na inny temat. Wszystkie wieczorne rozmowy przy aperitifie ciążyły nieodmiennie ku jednemu, fundamentalnemu dla każdego mężczyzny pytaniu. Któregoś wieczoru

po długich podchodach wreszcie padło: czy Charlesowi nie doskwiera brak pożycia seksualnego? Axel, kiedy się napił, torturował go na równi z innymi. Wstawiony Charles z łobuzerskim błyskiem w oku próbował się jakoś wywinąć. Siedział w szortach, właściwie nago, przebierał nerwowo palcami u nóg w sandałach pielgrzyma z Santiago de Compostela, składał przed sobą ręce jak do modlitwy i zapewniał, że miłość do Boga w pewnym sensie jest rodzajem hedonizmu.

Towarzystwo podkręcało śrubę: no tak, ale co z kobietami? Raz po raz któryś z nich, rozzuchwalony pastisem, podchodził i klepał go po udzie. Naciskali: do diabła, przecież to niemożliwie, żeby niczego nie odczuwał na widok pięknej kobiety? Nie brała go czasem chęć? Nie nachodziły robaczywe myśli podczas wysłuchiwania cudzych grzechów? Nie? Zupełnie nie? Wszystko w nim wygasło do tego stopnia, że nic już na niego nie działało?

Nie minęło parę miesięcy, a moi znajomi zaczęli przejawiać wobec mnie taką samą ciekawość. Byłam już wówczas dziennikarką. To zawód, w którym utrzymuje się kontakty z wieloma ludźmi. Była nas cała paczka. Nawet na zwykłej, zaimprovizowanej kolacji w środku tygodnia spotykaliśmy się często w dziesięć osób. Prawie każdy miał kogoś do pary, więc moja samotność rzucała się w oczy.

Jedną z takich par tworzyli Vionne i Carlos. To oni byli najgroźniejsi. To niesamowite, jaki nacisk może wspólnie wywierać dwoje osób. Na początku podziwiali moją odwagę. Czułam się jak bohaterka. Jednak harmonia wkrótce się skończyła. Teraz, zanim jeszcze zdążyli powiedzieć „dzień dobry”, już pytali, czy kogoś sobie znalazłam. Kiedy przecząco pokręciłam głową, spoglądali na mnie z niedowierzaniem. Dopytywali, jak to możliwe: czy aby robiłam wszystko, co trzeba? Zgodnie, z dezaprobatą kiwali głowami nad moim stylem ubierania się. Żadna z moich sukienek nie była wystarczająco wycięta. Moje włosy były za bardzo potargane. Miałam pokazywać nogi. Przestać zachowywać się jak kumpelka. A gdzie obcasy? Dlaczego nie nosiłam butów na wysokich obcasach? Carlos miał teorię, że buty na wysokich obcasach świadczą niezbicie o dostępności kobiety, uniemożliwiają jej bowiem ucieczkę. Mieli rację: kiedy spoglądałam na Vionne, długie, lśniące włosy Vionne, niesamowite, przyprawiające o

zawrót głowy obcasy Vionne, musiałam przyznać, że to Vionne, nie ja, przyciągała swoim wyglądem mężczyzn, choć miała już jednego, do tego Hiszpana.

Kiedy umarł mój ojciec, przekonałam się, że każda rekonwalescencja musi kiedyś się skończyć. Ludzie tolerują nasze wycofanie się z życia tylko przez pewien ściśle określony czas. Choć my wciąż jeszcze oplakujemy stratę, oni już się z nią pogodzili. Teraz było podobnie. Skoro byłam wolna, musiałam być dostępna seksualnie, żadna inna możliwość nie wchodziła w rachubę. Zawzięcie trwałam przy swoim. Upierałam się, że jest mi dobrze, twierdząc przy tym – całkiem już niewiarygodnie – że przecież kocha mnie Robert Redford. Byli zdruzgotani. Całe szczęście dzięki ostrzeżeniom Axela zachowałam dla siebie opowieść o poduszce. Dopiero miałoby używanie! Już nawet Robert Redford był przecież dla nich ciężkim wstrząsem.

„Ty chyba śnisz na jawie!” – wzdychali. I popatrywali, teraz już mniej pobłaźliwie, na moje botki na płaskich obcasach. Nawet nie próbowałam tłumaczyć Carlosowi, że identyczne miała Coco Chanel, że zamówiłam je w Church’s, że zrobiono je specjalnie dla mnie według męskiego wzoru. Że czekałam na nie aż dziewięć miesięcy...

Na imprezach przysiadali się do mnie po kolei i tłumaczyli mi, jak powinno wyglądać moje życie. Na co ich zdaniem zasługiwałam. A tak naprawdę wszyscy chcieli po prostu, żebym była taka jak oni. Elvire – która przylgnęła do nowego partnera, żeby zapomnieć o swoim depresyjnym mężu. Guillaume – któremu żona ciosała kołki na głowie i który się przede mną zarzekał, że wystarczy trzymać nerwy na wodzy i wszystkiemu potakiwać, a da się przeżyć. Maria – która miała dość własnych dzieci i zachęcała mnie do macierzyństwa. Assia – która lubiła kobiety, czym wpędzała do grobu swoją matkę. Patrizio – który żył z notoryczną zazdrością i miał siniaki na ramieniu. Żadne z nich nie mogło znieść mojej samotności, bo pewnego dnia mogłaby się ona stać ich udziałem. Nawet Sabine i William – należący do mniejszości smętni swingersi, którzy musieli być razem, żeby mieć się kim wymieniać z innymi – uważali mnie za dziwoląga. Przekonałam się, że w nawet najbardziej wyzwolonych kręgach obowiązują pewne niepisane zasady. Ci postępowi ludzie uznawali za punkt honoru łamanie wszelkich tabu i

odrzuć wszelkie konwenanse. Lecz kiedy ja naruszałam istniejący porządek w odwrotny sposób, załamywali nade mną ręce. Zażywali przy mnie najwymyślniejsze, najabsurdalniejsze narkotyki, wprawiając się w stan, w którym przestawali być świadomi mojej obecności. Lecz kiedy ja wstrzykiwałam sobie do żył ideał w najczystszej, najdoskonalszej postaci – byli zbulwersowani.

Kolacja u kustosa z Muzeum Człowieka, na której koniecznie chcieli mi kogoś przedstawić. Gdy tylko weszłam, bez trudu go rozpoznałam: palił, zjeżony przy otwartym oknie. Był wściekły (co świetnie rozumiałam), że musiał tu przyjść, żeby sobie mnie obejrzeć, że nie spadłam mu z nieba. Nic tak nie studzi naszego miłosnego zapachu jak świadomość, że zdarza się nam nie cud, lecz okazja.

Przy stole, gdzie specjalnie posadzono go obok mnie, czuł się w obowiązku sprostować, że jego sytuacja nie jest wcale tak beznadziejna, jak być może mi opowiadano.

– Miewam przygody to tu, to tam – poinformował. Żebym sobie za dużo nie myślała. Żebym nie sądziła, że i on przyciska do piersi poduszkę w niekończące się noce. Kątem oka patrzyłam, jak obgryza udka z kurczaka, nie zdając sobie sprawy, że wyjęto z nich kości. Miał taką zabawną minę, gdy nagle zostawał z pustymi rękami! Henrietta mrugała do mnie z drugiego końca stołu.

Ponieważ oboje byliśmy w tej samej sytuacji, otwarcie opowiedział mi o swoich dwóch poprzednich dziewczynach. Przed jedną ukrywał swoją prawdziwą tożsamość, żeby nie mogła go odszukać, gdyby za mocno się do niego przywiązała. Z drugą, dziewiętnastolatką, też cały czas się pilnował: była Erytrejką bez prawa pobytu we Francji. Tak bardzo bał się, że ktoś zastawi na niego sidła, że nie dostrzegał, że sam już wpadł w najgorsze z nich: w sidła cynizmu. Co miesiąc płacił dwa tysiące pięćset euro matce swojego syna. Wiedziała, że pluje sobie teraz przez to w brodę.

Gdy zaczął się zbierać do wyjścia, wszyscy zebrani zrobili ruch, jakby chcieli nas popchnąć ku sobie, żebyśmy nie mieli innego wyjścia, jak tylko się zejść. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy, kiedy obwieściłam, że zostaję. Stał w płaszczu, gotów, chcąc nie chcąc, wziąć mnie ze sobą, a ja nie chciałam wyjść. Jego twarz zniknęła za zamkniętymi drzwiami.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Wiedziałam, że czeka mnie ciężka przeprawa.

Wróciliśmy do salonu. Mój Boże, jakaż byłam potulna!

Miałam przeciwko sobie trzy pary. Kustosz ustawił się w autorytatywnej pozie przy kominku. Obok na pufie usiadł jego chłopak. No i zaczęło się. Dlaczego nie zaproponowałam, żebyśmy poszli się czegoś napić? Dlaczego nie powiedziałam:

– Będzie mi bardzo miło znów się z tobą zobaczyć? – Dlaczego miałam oczy wilka (tak przynajmniej twierdzili), a nie wilczycy? Czy nie mogłam wydobyć z siebie choć odrobiny kociego wdzięku? Rzucili się na mnie z zębami, jak na chorego osobnika w stadzie.

– Zostawcie ją. Widocznie nie czuje takiej potrzeby – ucieła Henrietta.

Byłam teraz osobą bez wielkich potrzeb, przygarniano mnie więc do siebie na lato jak jeszcze jedno dziecko. Tuż przed wakacjami Vionne zaproponowała:

– Może dojedziesz do nas na Hydrę? Wiesz dobrze, że dla ciebie zawsze znajdzie się miejsce – dodała. W jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zapomniałam, że pragnęłam odrodzenia, że miałam u ramion rozłożyste skrzydła, a u stóp cały świat. Wsiadłam do samolotu, wylądowałam w Atenach, wskoczyłam do taksówki, którą dojechałam do Pireusu, skąd odchodził prom na Hydrę. Na pokładzie ślizgacza nic nie było widać przez zachlapane wodą bulaje. Ludzie płynęli z rodzinami, w grupach albo w parach.

Moi przyjaciele (cztery pary i Henrietta) czekali na mnie na przystani w Hydrze. Dzieci powitały moje zejście na ląd oklaskami, a potem rzuciły mi się na szyję. Carlos wziął ode mnie walizkę. Uśmiechnęłam się triumfująco do swoich współpasażerów: ja też nie byłam sama. Nikt nie jest całkiem wolny od słabości...

Dom znajdował się w górnej części miasteczka. Dzieci próbowały mi go pokazać, ale wskazywały każde w inną stronę. Oznajmiono mi, że jest wspaniały. Że co prawda nie ma zejścia do wody, ale za to dachem prawie sięga nieba, dzięki czemu w upalne dni dociera tam każdy, najmniejszy nawet, chłodny powiew. Słowem będzie mi tam jak w raju. Był tylko jeden mały problem: okazało się, że w tej zapierającej dech

willi jest jednak mniej miejsca, niż zapowiadano. A mianowicie, nie ma dla mnie pokoju. Nikomu jednak nie mąciło to dobrego humoru. Dla dzieci było to nawet źródłem dodatkowej uciechy. Będę się z nimi bawić, zamiast siedzieć sama w kącie. Zaproponowałam, że się przeniosę do hotelu. Nie, nie, już się orientowali: o tej porze roku nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Nie ma w ogóle mowy, żebym mieszkała gdzieś sama. Przez pierwsze dni będę spać w pokoju Henrietty, bo Pierre przyjedzie dopiero pod koniec tygodnia. Później przeniosę się do pokoju Rosy, córki Vionne, na pewno znajdzie się dla mnie jakieś łóżko. Byłam na Hydrze, wspinałam się po bielonych schodach, mijałam przepiękne domy, w dole klekotały maszty zacumowanych przy nabrzeżu jachtów i szumiało morze. Wspaniałe widoki. Kochający mnie przyjaciele. Obejmujące mnie w pasie dzieci. Carlos niosący moją walizkę. Zrobiłam szybki rachunek zysków i strat. No cóż, właściwie po co byłby mi własny pokój?

Rano wstawałam, kiedy Henrietta jeszcze spała. Wszystkie pokoje wychodziły na ogromny taras. Nie wiedziałam za bardzo, co ze sobą zrobić, żeby nie obudzić śpiących par. Próbowałam ułożyć się na szezlongu z książką. Drewno trzeszczało, od niewygodnej pozycji cierpł mi kark. Czy nie robiłam za dużo hałasu? Nie mijała chwila, a któreś dziecko odkrywało, że już jestem na nogach, i stawało przede mną z pudełkiem płatków śniadaniowych. Chciało mu się jeść. Wstawałam, zupełnie niepotrzebnie starając się zachowywać jak najciszej, bo ono już pogalopowało do kuchni, kłapiąc nogami po kafelkach. Pokazywałam mu, jak się mówi szeptem. Myślało, że to zabawa, i przez moment mnie naśladowało, lecz po chwili już krzyczało w niebogłoso. Jedno po drugim zbiegały się pozostałe dzieci. Nakrywałam do stołu na tarasie. Wstawiałam mleko, wykladałam marmoladę. Przy stole odganiałam pszczoły, bo dzieci się ich bały. Opowiadałam im *Odyseję*. Słuchały. Kiedy wyciągałam ramię w kierunku wielkiej Grecji, koszula nocna spowijała moje kształty niczym starożytny chiton. „Jesteś piękna!” – mówiły. Pytały, czemu nie mam chłopaka. Odpowiadałam, że to one są moją największą miłością. Obląpiały mnie za ramiona. Wtulały mi głowy pod żebra. Opowiadały mi swoje sekrety (miałam ich nikomu nie zdradzić) – o zasłyszanych nieprzyzwoitych wyrazach, o nocnych

poczynaniach rodziców. Zanim zdążyłam je o to poprosić, na dowód panującej między nami zgody i harmonii sprzątały ze stołu. Teraz, kiedy nie miało to już najmniejszego znaczenia, szeptały konspiracyjnie: „Kochamy cię”. Myślałam wówczas o kobietach, które kiedyś, w nie tak znowu odległych czasach, żyły przy cudzych rodzinach, wychowywały nie swoje dzieci i były dla wszystkich ogromnie ważne.

Rajd samochodowy po Saharze. Zabrał mnie ze sobą. Ona nie mogła, bo miała dużo pracy. Omal nie pojechał wcale. Nie mógł znaleźć nikogo, kto chciałby z nim stanąć do tych zawodów, spać po cztery godziny na dobę, mieć piasek we włosach. W końcu pomyślał o mnie. Jego żona powiedziała: „Ją możesz zabrać”.

Rano jechaliśmy ze śpiewem na ustach, dopóki nie ugrzęźliśmy w piasku. Koła buksowały, choć przierzucaliśmy wszystkie możliwe wajchy. Co rusz musieliśmy wyciągać z bagażnika specjalne podkłady pod koła. O drugiej po południu byliśmy ledwie żywi. Na szczęście wkrótce zapadał zmrok. Na odcinkach, na których jechało się w parach, nie wolno było nocować w obozie. Taki był regulamin. Musieliśmy jakoś sobie radzić. Jedliśmy na kolację konserwy i herbatniki. Godzinami rozbijaliśmy nasz mały namiocik i, gdy tylko stał w miarę stabilnie, podekscytowani wślizgiwaliśmy się do środka. Niezłe się przy tym naśmialiśmy. Aż przestawało nam się chcieć spać.

Pewnego wieczoru leżeliśmy obok siebie na plecach, otuleni w puchowe śpiwory w szkocką kratę, z suwakami zaciągniętymi po same nosy. W lutym nocie na Saharze są lodowate.

Spytał, czy mi tego nie brakuje.

Rześkość powietrza skłoniła mnie do szczerości. Przyznałam, że czasami sama się nad tym zastanawiam. Ale jaki tak naprawdę mam wybór? Mogę jedynie albo znów zacząć spotykać się z mężczyznami, albo cofnąć się do czasów dzieciństwa. Czy mam jakieś inne wyjście? Nie potrafiłam powiedzieć, przed czym dokładnie uciekałam, wiedziałam tylko, że wszystko się we mnie buntowało na myśl, że miałabym do tego wrócić. No więc?

Słuchał. Czy aby na pewno? W namiocie zaległa cisza, którą przerywał tylko jego miarowy oddech. Może zasnął w mroku namiotu. „To nie jest łatwe” – zakomunikował trochę tak, jakbym z racji tego, że

nie uprawiałam seksu, była przybyszem z obcej planety, któremu należało wyjaśnić, na czym polega życie na Ziemi. Ale nie, zaczął po prostu mówić o sobie. Powiedział, że ludzie żyjący w związkach także mają swoje problemy. Że i on, mimo wszystkich uczuć, które żywił do swojej żony, kobiety, której poświęcił swoje ciało, często zmaga się sam ze sobą. Są noce, kiedy nie wie już, czy mówi jej, że ją kocha dlatego, że jej potrzebuje, że boi się ją rozczarować czy że naprawdę jej pożąda. Miota się wtedy jak dzikie zwierzę. Kiedy wraca do domu, ma chęć uciekać. Wyobraża sobie, że prowadzi podwójne życie, że jest szpiegiem, że może robić na boku, co mu się podoba. Że pod przykrywką tajnych misji zaspokajają swoje nieokielznane żądze. Wieczorami po wyjściu z pracy kręci się w okolicach lasu Meudon, gdzie wystają transwestyci, z głową pełną najdzikszych fantazji, które pozostają niezrealizowane, bo zawsze, sam, nawet nie wiedząc kiedy, w końcu łąduje pod własnym domem.

– Więc i tak radzisz sobie nie najgorzej – powiedział pocieszająco, a potem zamilkł. Jakby się przeląkł, że w tej niezmaconej nocnej ciszy jego słowa będzie można usłyszeć aż tam, w Meudon, gdzie czekała na niego jego miłość.

Kiedyś był gwiazdą. Teraz przychodził sam wieczorami do restauracji w Palais Royal i siadał na uboczu, przy zarezerwowanym dla niego stoliku. W pewnym sensie wciąż występował przed widownią: wszyscy na sali patrzyli, jak melancholijnie spożywa kolację. Tego wieczoru przyszedłem ze znajomymi, którzy go znali. Przystanęliśmy przy jego stoliku. Wskazał na puste krzesła obok siebie – namacalny dowód panującej wokół niego absolutnej towarzyskiej posuchy.

– Może ktoś chce się dosiąść? – Choć powiedział to do nas wszystkich, to mnie usadził przy sobie, pociągając za moje ramię jak za aksamitny sznur staromodnego dzwonka. Jedno skiniecie głowy i kobieta była jego. Moje znajome były zaskoczone. Ja też zachodziłam w głowę. Co mogło go zainteresować w takiej nierzucającej się w oczy kobiecie jak ja? Dyskretnie spytał, co robię z tymi ludźmi, jakbym zasługiwała na kogoś lepszego. Musiał naprawdę mieć bardzo niewiele przyjaciół, skoro pogardzał tymi tutaj, którzy najwyraźniej się do nich zaliczali. Odpowiedziałam, że nie mogę zawsze odmawiać i że ci ludzie

dostarczają mi rozrywki. Spytał więc zaraz, czy jestem bardzo samotna. Nie byłam pewna, czy się tego domyślał, czy próbował dowiedzieć, żeby się ze mną ożenić. Wystarczy przestać uprawiać miłość, żeby pojawił się książę z bajki. Niczego nie oczekiwałam, a szansa sama spadła mi z nieba. Wytrawnego marzyciela takie rzeczy pewnego dnia przestają dziwić.

– Tak, jestem bardzo samotna. a pan? – zaryzykowałam.

– Ja... – westchnął. – Ja... Nic. – Po chwili jednak dodał: – Ja całe szczęście mam swojego Moneta.

Doskonale wiedziałam, o czym mówił: o tym, że sztuka jako forma sublimacji może być schronieniem. Nie miałam wprawdzie Moneta, lecz i ja pragnęłam żyć w świecie książek, filmów i muzyki. Łagodnie, po bratersku szturchnęłam go w ramię. Objął mnie i oświadczył wszem wobec, że ma do mnie dużo sympatii. Zrozumiałam, że dwie samotne osoby zawsze znajdą wspólny język.

Pożegnał się z nami na chodniku przed restauracją. Gdy tylko jego słynna sylwetka brutala zniknęła w tłumie, posypały się opowieści. W ciągu kilku minut omówiono jego swobodne obyczaje oraz wszystkich kochanków i kochanki. To zatrwająca, jak bezceremonialnie ludzie potrafią komentować życie intymne innych osób.

Rozdział 4

Henrietta mówiła, że jestem lustrem. Stawała przede mną z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia, wbijała we mnie oczy i, przechylając głowę, porównywała nasze tajemnice. Zamierałam w bezruchu, jakby każde moje poruszenie mogło w jakiś sposób zaszkodzić naszej wzajemnej szczerości. To właśnie Henrietta – moje zupełne przeciwieństwo, stworzona do tego, żeby się zbliżyć i budować (nawet zamiłowanie do martwych języków wynikało u niej z chęci zmniejszania dystansu) – twierdziła, że mój styl życia ją uspokaja i że mam prawo do chwili wytchnienia.

Była pierwszą z moich przyjaciółek, która związała się z mężczyzną. Pierre, student prawa, pojawił się w jej życiu, kiedy miała dziewiętnaście lat. Jako pierwsza pogodziła się też z konsekwencjami tego. Przyznawała otwarcie, że ciało drugiej osoby bywa uciążliwe. Nie zmieniało to jednak w niczym jej nastawienia. Zrozumiała bowiem wcześniej niż którakolwiek z nas, że nie ma nic za nic. To właśnie doskonale dostosowana społecznie Henrietta miała odwagę wbrew całemu plemieniu pochylić się nad takim wyrzutkiem jak ja, cieszyć się moją radością i dodawać mi otuchy.

Jednak pewnego dnia w hammamie zwróciła ku mnie swoją rozmiękłą od pary twarz i zapytała:

– Od jak dawna żyjesz zupełnie bez tego? – Zupełnie bez tego? Nie mogłam wyjść ze zdziwienia, że to ona, właśnie ona, zadaje mi to pytanie. Odparłam, że przecież lewituję, a do tego kocha mnie Robert Redford. Otarła z czoła niesforne krople i napomniała mnie:

– Nie możesz nazywać szaleństwa miłością.

Czym w takim razie była dla niej miłość? Nie miałam jednak najmniejszej szansy obrony. Już zaczęła bowiem liczyć na palcach, jak nieprzyzwoicie długo trwa moja asceza. Policzyła jeszcze raz, żeby wykluczyć wszelką możliwość pomyłki. Bezlitośnie sprowadziła mnie na ziemię. A więc moje ekstazy, moje cudowne ekstazy, były nic niewarte? Czułam się jak tępy uczeń, który się cieszy, że napisał klasówkę, a tymczasem nauczyciel oddaje mu kartkę całą pokreśloną na

czerwono. To takie smutne, kiedy osoba, którą kochamy, nas nie rozumie. Co chciała udowodnić, burząc moją równowagę? Zupełnie jak w czasach, kiedy uczyłyśmy się razem łaciny: byłam niewyuczalna.

Wycofała się równie nagle, jak przypuściła atak:

– Zapomnij o wszystkim, co powiedziałam.

Umówiłyśmy się w miejscu zwanym Parkiem Potworów. Za odpowiednią opłatą dzieci mogły się tutaj wyszaleć na zjeżdżalniach, ściankach wspinaczkowych, huśtawkach i trzyosobowych karuzelach, wrzeszcząc: „Mamo!” Nawet kiedy mogły się bawić same, domagały się uwagi. Siedziała obok mnie, lecz co chwilę wstawiała i podziwiała ich wyczyny. Skarżyła się, że nie dają jej spokoju. Wystarczyło jednak, że przez sekundę nie było ich słychać, a podrywała się niespokojna, że się zgubiły.

Była moją koleżanką ze studiów. Mieszkała w Bazylei i bardzo się zmieniła od czasów, kiedy wspólnie przemierzałyśmy rue des Écoles i chodziłyśmy na przeglądy filmowe do Cinémathèque française. Dawny artystyczny nieład zastąpiła pedantyczna elegancja rodem z ekspozycji sklepowych i koszmarnie droga torebka. Żyła z przedsiębiorcą z branży biotechnologicznej. Pomyślałam sobie, że życie w Bazylei musi być niezbyt zabawne. Dokładnie w tym momencie zaczęła opowiadać, jak bajecznie układa się ich pożycie seksualne. Krótko mówiąc, w Bazylei odchodziły niezłe harce. Byli nienasytzeni. Jego członek był niestrudzony jak dmuchana lalka. Nie szczędziła mi szczegółów. W końcu się jednak zreflektowała i skończyła rozwodzić się nad swoimi erotycznymi doznaniem.

– Mogłabym o tym opowiadać bez końca – podsumowała. Seks był taki naturalny. Jak oddychanie. Uwielbiała się kochać, bo miała szczególny dar do odczuwania rozkoszy. Wychodziła na balkon u siebie w Bazylei, pieściła dłonią drewnianą balustradę i dziękowała Bogu, że stworzył ją epikurejką, że cieszyły ją ślina, ryż na mleku, sok i ciało. Sprowadzała z Londynu seksowną bieliznę, ze sklepu, o którego istnieniu pewnie nie wiedziałam. Brała zawsze komplet, żeby ładniej wyglądało. Szybciej jednak zużywała góry, które on zdierał z niej w miłosnym szale. Miała za to nadmiar jedwabnych szortów – mogłaby mi coś z tego przywieźć, gdy znów będzie w Paryżu.

Choć spełniała się całkowicie w swoim związku, wciąż pragnęła innych mężczyzn. Przez lata ukrywała przed swoim partnerem niektóre fantazje. Jak się okazało zupełnie niesłusznie. Kiedy w końcu się zdecydowała wyłożyć karty na stół, oboje na tym skorzystali. Mówienie o swoich pragnieniach bardzo mu się spodobało. Wyjawiał jej własne erotyczne marzenia: wyobrażał ich sobie na przykład z inną kobietą. Najpierw kochały się one, a potem on kochał się z każdą z nich, tak że ostatecznie każdy kochał się z każdym. I jej ta wizja przemówiła do wyobraźni. Miała nadzieję, że się nie pogniewam, ale – fantazjowali przede wszystkim o mnie. Wyobrażali sobie moje zawstydzenie, moją nieśmiałą odmowę. Działo to na nich podniecająco.

Poznałam ją przez znajomych z paczki. Była nocną dziewczyną. Rzadko wychodziłam, lecz ona zjawiała się zawsze akurat wtedy, gdy wyczerpana wychodziłam z imprezy. Cieszyła się na mój widok, jakby spotkanie ze mną było dla niej niespodziewanym, miłym punktem wieczoru. Pytała: „Już wychodzisz?” Choć była czwarta nad ranem.

Zdobyła skądś mój numer telefonu. Wiedziałam, że będzie to dla niej ważne spotkanie: umówiła się ze mną z tygodniowym wyprzedzeniem, jękając się do słuchawki. Siedziała naprzeciw mnie – fantastyczna dziewczyna z wypiętą piersią okrytą ciasnym sweterkiem. Upięty wysoko koński ogon, naga twarz ze szkarłatną plamą ust.

W oczach – utajony mrok.

Oparła dłonie na melaminowym blacie kawiarnianego stolika. Przyszła mi powiedzieć:

– Zazdroszczę ci. – To, że obywałam się bez mężczyzn, budziło jej ogromny szacunek. Gdy tylko się dowiedziała, że żyję bez tego, postanowiła otworzyć przede mną serce. Minęły miesiące, zanim zdecydowała się zadzwonić.

– Imponujesz mi – wyznała. Była Węgierką. Doskonale mówiła po francusku. Skończyła w Paryżu geografę, mieszkała w Brukseli, od roku pracowała dla Rady Europy. Robiła karierę. Dokonała cudów, żeby wydostać się ze swojego kraju. Nie był to jednak jedyny akt apostazji, którego musiała dokonać. Mężczyźni prześladowali ją, od kiedy była nastolatką. Jej piersi i biodra wcześniej się zaokrągliły, odbierając jej spokój. Odkąd sięgała pamięcią, przystawała na męskie propozycje.

Ulegała wzbierającym w niej doznanom. Choć w gruncie rzeczy przyjemność, którą odczuwała, nie miała dla niej znaczenia. Kiedy miała szesnaście lat, w rodzinnym Debreczynie na Węgrzech, nad pobliskim jeziorem, chłopcy zarzucali ją komplementami – już wtedy przeczuwała, że pewnego dnia będzie miała powyżej uszu bycia pożądaną kobietą. Dziś nie miała już żadnych złudzeń co do mężczyzn. Zbyt długo się oszukiwała. Niestety wolą udawać, niż się przed sobą do tego przyznać, bo wówczas musiałaby stanąć z prawdą twarzą w twarz.

Byłam ciekawa, dlaczego opowiadała o tym wszystkim akurat mnie.

– Bo jestem taka jak ty – odpowiedziała. Spytałam, czy mogę jej w jakikolwiek sposób pomóc. Zerknęła na bok, jej piersi zafalowały pod swetrem, a szkarłatne usta pomknęły w kierunku moich warg.

Zasłoniłam się ręką. Usta były tak wydatne, że zawadziłam o nie kciukiem, a mój paznokieć zatopił się w grubej warstwie szminki.

Poląłam się herbatą. Próbowwała mnie wytrzeć serwetką.

Sądziła, że skoro odmawiam mężczyznom, nie odmówię kobiecie.

Kawiarnia Le Bonaparte. Właśnie opowiedziałam Axelowi, jak rozlałam na siebie herbatę.

– Co za nieporozumienie, kompletne nieporozumienie... – powtarzałam w kółko. Żałowałam swojej gwałtownej reakcji.

Słuchał mnie, pogryzając fistaszki. Oczekiwałam, że mnie poprze, jak zawsze – taki mieliśmy rytuał. Tymczasem, zwracając pustą miseczkę kelnerowi, wbrew regułom gry zapytał:

– A gdyby naprawdę podobały ci się kobiety?

Przyglądał mi się z wyteżoną uwagą, jakby wypłaszał z nory zająca. Znał mnie od dziecka. Nauczył mnie pływać: pewnego dnia na basenie zabrał mi pływaczki i udawał, że trzyma mi rękę pod brzuchem, podczas gdy sama unosiłam się na wodzie. Był podobny do Richarda Burtona. Studiowałam językoznawstwo, lecz przez niego o mało nie zostałam informatyką. Przewidział nadejście ery autostrad informacyjnych, upubliczniania życia prywatnego, komunikacji w czasie rzeczywistym, światów wirtualnych, tańszych filmów, darmowej muzyki. I ten wizjoner pytał mnie, czy podobają mi się kobiety?

Przez chwilę sondowałam własne gusta i zaglądałam w zakamarki

swojej świadomości, próbując rozeznaczyć, co mi się podobało, a co nie, co, nawet jeśli nie miałam życia seksualnego, mnie pociągało, a co odpychało. Zrobiłam prawdziwy rachunek sumienia. W końcu podniosłam głowę i odpowiedziałam odważnie:

– Nie, jednak wolę mężczyzn.

– Jakim cudem możesz być tego taka pewna, skoro nawet nie spróbowałaś? – obruszył się.

Odparłam, że owszem, spróbowałam: teraz, przy nim, rozważyłam taką ewentualność. Chcąc uprzedzić jego obiekcje, spytałam, czy on mógłby to zrobić z mężczyzną. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu odparł, że gdyby chodziło tylko o spenetrowanie mężczyzny albo poddanie się jego śliniącej pieszczocie, to chyba mógłby. W najgorszym razie zamknąłby oczy i wyobrażałby sobie, że jest z kobietą. Przyznał jednak, że byłoby mu łatwiej, gdyby ów mężczyzna miał długie włosy i pomalowane paznokcie.

Rozstaliśmy się na ulicy. Na odchodne szturchnął mnie w ramię:

– Ech, życie... Co za niefart, żyjemy w mieście pełnym kobiet, a w tobie żadna nie budzi pożądania.

Czy zdawał sobie sprawę, że mówi o sobie?

Gordon mieszkał na tym samym piętrze co ja. Zawsze w garniturze. Finansista. Dziwiłyśmy się z dozorczynią, że dwoje przedstawicieli burżuazji postanowiło zamieszkać w artystycznym atelier. W Niedzielę Palmową jego żona, drobna osóbką w szpecącej kurtce myśliwskiej, wieszala na drzwiach zieloną gałązkę. Mieli trójkę dorosłych dzieci, które już z nimi nie mieszkały. Odwiedzały ich w niedzielę, niechętnie i ponure. Nigdy nie słyszałam, żeby się śmiali, choć nadstawiałam uszu. Dochodzący wówczas z ich mieszkania zapach pieczonego baraniego udźca budził we mnie tęsknotę za rodziną. Gdy się najadły, wychodziły i pospiesznie schodziły po schodach. A właściwie uciekały.

Pewnego wieczoru po powrocie z kina zastałam Gordona siedzącego w piżamie na wycieraczce przed drzwiami własnego mieszkania. Oskubał doszczętnie z liści zieloną gałązkę, która uschła już dobrych kilka miesięcy temu. Nie wyglądał najlepiej. Pomyślałam, że może zostawił w środku klucze, poszedł wyrzucić śmieci i drzwi się za

nim zatrzasnęły. Absurdalność sytuacji skłoniła go do porzucenia właściwej mu rezerwy: wystarczyło zwykłe słowo zachęty, żeby zgodził się do mnie wstąpić.

Nieraz myślimy, że ludzie będą mieli opory, żeby się przed nami otworzyć, tymczasem jest wręcz odwrotnie. Tamtego wieczoru Gordon próbował zbliżyć się do swojej żony. Mieli osobne sypialnie. Oto więc co zrobił: zapukał do żoninych drzwi, wszedł, i położył się na łóżku obok jej ciała, z czułością, lecz nie pytając o pozwolenie. Zaczęła krzyczeć (gdybym była w domu, pewnie bym ją usłyszała). Oszalały, także z powodu jej krzyków, lecz głównie dlatego, że wreszcie coś się zaczęło między nimi dziać, napierał dalej: mamrocząc nieprzytomnie, rzucił się głową między jej uda. Kazała mu nie być idiotą i wierzgnęła, trafiając nogą najpierw w powietrze, a później w jego kość piszczelową. Przypiekła mu tym do żywego, oświadczył więc:

– Skoro tak, odchodzę!

Zerwała się z łóżka przed nim, podbiegła do drzwi wejściowych i, otwierając je, powiedziała:

– Droga wolna. – Choć miała rozchyloną koszulę, chcąc wyjść z honorem, mógł zrobić tylko jedno: wyjść.

Był niepokieszony, że narzuca mi się ze swoją klęską. Chciał sobie pójść. Lecz nie mógł przecież ciągle chodzić tam i z powrotem. Siłą przytrzymałam go na kanapie. Jego żona od pięciu lat nie pozwalała mu się dotknąć. Powiedziała mu, że męskie ciało jest odpychające. Pięć lat temu, kiedy ostatni raz leżał nagi obok niej, sprawdzili to razem. Musiał przyznać, że anatomia mężczyzny rzeczywiście jest dość osobliwa.

Wyjaśniła, że jego ciało nie jest brzydsze od innych, ma tylko nieszczęście znajdować się w pobliżu, nic więcej. Te rewelacje Gordona dobiły: wcześniej matka zostawiła go pod opieką ojca. Psychoanalityk, z którym próbował się w tym wszystkim rozeznaczyć, pomógł mu zrozumieć, czy to przez męską solidarność, czy przez wierność metodzie Freuda, że już dosyć, że powinien coś zmienić w swoim życiu. Po nieskończeniu długim, chudym i introspektywnym roku Gordon zaproponował żonie separację. Nie zgodziła się. Wyeliminowała natomiast z ich życia wszelki kontakt fizyczny. Przez te pięć lat dotykała go tylko po to, żeby strzepnąć kurz z jego marynarki. Czasami więc Gordon zakurzał się

specjalnie.

Gordon korzystał z usług prostytutek. Wiedział, że go nie pożądamy, miał jednak cichą nadzieję, że uznają za choć trochę atrakcyjne okoliczności, dobry hotel, aurę tajemniczości, to, że jest czysty. Potrafił się nawet przekonać, że otwarta, bezpardonowa pogarda jest w istocie ich zaletą. Zaczęło się pewnego wieczoru w Nicei. Jechał windą na siódme piętro. Na trzecim drzwi się rozsunęły: zobaczył zjawiskową istotę z ręką wspartą na biodrze, w pięknym karmelowym kożusku. Ani drgnęła, powiedziała tylko po francusku z silnym słowiańskim akcentem:

– Ma w środku futerko. – To te właśnie słowa, bardziej niż sama dziewczyna, uwiodły Gordona. Drzwi windy zaczęły się zamykać, lecz ona wciąż nie ruszyła się z miejsca. Bye, bye... Wiecznie przytłoczony życiem Gordon nigdy nie znalazłby w sobie dość sił, by pójść za głosem pragnienia. To ona, w ostatniej chwili, wykazując się zadziwiającą siłą, jednym palcem przytrzymała drzwi. Wsiadła do windy. Było oczywiste, że zrobiła to dla niego. Ani przez sekundę nie pomyślał o żonie. Jego życie erotyczne od dawna toczyło się poza paryskim atelier. Od pięciu lat nie pieścił nikogo prócz siebie samego. Od pięciu lat sam dostarczał sobie rozkoszy, w pustym łóżku, w podróży. Żył na zasilaniu awaryjnym, marząc o miłości, choćby swojej żony. A miłość, wiadomo, to trudna sprawa. Nigdy by nie przypuszczał, że odzyska swoją seksualność w tak występny wydaniu. W pokoju kożuszek osunął się na ziemię. Patrzył na niego jak zahipnotyzowany. Dziewczyna dobrze pamiętała, zauważyła już w windzie, że działały na niego słowa, więc mu ich nie szczędziła. On, który niedawno zastanawiał się, czy jego ciało będzie mogło, teraz nie mógł się nadziwić łatwości pożądania. Rzuciła mu słowa jak smakowite rybki, a on je chwycił łapczywie jak uchatka, nieprzytomny ze szczęścia. Dziewczyna miała też oczywiście w oczach to coś. Utajony mrok, gotowość. Zademonstrowała, do czego jest zdolna, bez zbędnych ceregieli. Spełniła jego wszystkie, nawet te nienazwane, życzenia. Narzucając z powrotem na ramiona swoją czarodziejską pelerynę, podała mu cenę. Była zawrotna, lecz Gordon uznał, że to półdarmo.

Wcześniej żaden mężczyzna nie opowiadał mi o swoich doświadczeniach z prostytutkami. Teraz, gdy byłam neutralnym obserwatorem, można było mówić ze mną zupełnie otwarcie.

Gdy tylko poznawała kogoś nowego, zaraz do mnie dzwoniła i na gorąco – a nawet na żywo, bo główny bohater spał w pokoju obok – relacjonowała mi dokładnie rozwój wypadków. Kiedy bladym świtem rozlegał się dzwonek telefonu, choć dobrze wiedziałam, że to ona, serce i tak podchodziło mi do gardła. O tej porze dzwoniono do mnie tylko po to, żeby powiadomić mnie o czyjejś śmierci.

Miałyśmy swój mały rytuał. Ona stwierdzała: „Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?”, a ja zawsze kłamałam, że nie. Potem zabawnym, zduszonym głosem pytała: „Słyszysz mnie?” A ja z zacisza własnego łóżka potwierdzałam odbiór. Musiała szeptać, bo inaczej by się obudził. Jeśli byli w hotelu, dzwoniła z łazienki. Po co zadawała sobie tyle trudu? Przecież jedyną osobą, którą kiedykolwiek obudziła, byłam ja. Po chwili zapominała się i mówiła już normalnie. Jej partner w pokoju obok chrapał dalej w najlepsze. Sądząc z tego, co mi opowiadała, chyba żaden mężczyzna nie ustałby na nogach po tym, co razem wyczyniali.

Zadziwiający był zresztą już sam fakt, że ona mogła rozmawiać.

Każdy kolejny mężczyzna brał się do rzeczy lepiej od poprzedniego. „Dzięki niemu doznałam objawienia!” – mówiła, zapominając, że słyszałam to zdanie z jej ust dziesiątki razy. Referowała mi jeden wyczyn, potem drugi, a gdy nadal nie reagowałam, wykladała na stół jeszcze trzeci. Wyciągała je z zanadrza jeden po drugim jak iluzjonista króliki z kapelusza. Czasami zaś podsumowywała ogólnie: „Całą noc nie zmrużyliśmy oka”. Myślałam sobie wtedy: gdyby wszyscy ludzie uprawiali seks, nie umieliby ze sobą rozmawiać. Wiedziałam, że mój zachwyt sprawia jej przyjemność. W naszej grze jedna z nas twierdziła, że przeżyła coś niesamowitego, a druga potwierdzała skwapliwie, że to niebywałe. Rzeczywiście niesamowite: żeby tak w ogóle nie spać w nocy?

Rozdział 5

Nie wiem, czy miłość czyni ślepy, mogłam się za to przekonać, że samotność wyostrza wzrok. Esplanada przed łukiem w dzielnicy La Défense, druga po południu. Rozłożyłam się na murku. Miałam się spotkać ze znajomym Pierre'a w sprawie związanej z pracą. Marcowy dzień, pełnia błękitu. Raz po raz zanurzałam rękę w tutce z kasztanami. Mężczyźni i kobiety schodzili pod ziemię i wychodzili na powierzchnię. Ci, którzy byli spóźnieni, mieli podciągnięte barki. Ci, którzy byli przed czasem, spoglądali niespokojnie w stronę centrum handlowego. Trzęśli się z zimna w cieniu wieżowców. Nad nami górował Wielki Łuk. Tylko jego krawędzie lśniły w słońcu. To mogłaby być jakaś nadzieja. Jednak potężna architektura, zamiast uspokajać, potęgowała wszędobylski nedorzeczny pośpiech. Pomyślałam: jakie to dziwne, że każdego z tych ludzi – łysych, tęgawych, pomarszczonych, wieloustych, źle ubranych, noszących nieodpowiednie krawaty, bladolicych – ktoś może pożądać. Prześwietlałam ich pod kątem seksualności. Uznawałam jej doniosłą rolę, jej niewątpliwą wyższość nad moją bezproduktywnością. Łatwo jest nam przyznać innym, że się nie mylą, kiedy cieszymy się, że nie myślimy jak oni. Czułam się taka odległa od tego tłumu. Nie odchodziłam jednak, chłonełam go wzrokiem, widocznie chciałam tam być, potrzebowałam widoku tych uspołecznionych automatów. Potrzebujemy rzeczywistości, żeby od niej uciec. Możemy wówczas uczynić z ułomności naszą siłę. Jak Emmanuelle Laborit^[1], która zamigłała w telewizji: „Mam szczególnie dar: jestem głucha”.

Przechodzący obok mężczyzna pochwycił moje spojrzenie. Nie wiem, jakim cudem to zrobił, bo unikałam teraz patrzenia ludziom w oczy. Zwolnił kroku i odwrócił się kilka metrów dalej. Miał na sobie szary garnitur. Teczka płasała nerwowo przy jego nodze. Gołębie wyglądały jak jego młodszy bracia. Kupował kasztany. Sprzedający je Hindus zaproponował, że mu je podgrzeje kolejno na grillu. Zgodził się. Teczka leżała posłusznie u jego stóp. Zapalił papierosa i spojrzał w moją stronę. Jego pożądliwość mogłaby mi zepsuć dzień. Musiałam się przenieść w inne miejsce.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Stan jest homoseksualistą. Był zabójczo przystojny. Siedział ze skrzyżowanymi jak bierki Mikado rękami i nogami oraz schludnie zaplecionymi palcami. Nosił spodnie uprasowane w cudowny kant. Był obdarzony zmysłem humoru. Miał trzydzieści dziewięć lat i całe życie odróżniał się od innych.

Chodziliśmy razem potańczyć, ale nie wychodziliśmy na parkiet. Woleliśmy się przyglądać tańczącym. Opadaliśmy na kanapę o nieciekawym zapachu – tak inni: oboje w nienaganych białych spodniach, oboje pachnący lawendą – a on opisywał mi normalnych ludzi, których mieliśmy przed oczami. Był stylistą. Jedni wertują stare żurnale, on zaś czerpał złośliwą satysfakcję z panującego wokół bezguścia. Przyglądał się mu i w drodze znanej tylko sobie reakcji chemicznej przemieniał w poezję. Myślałam o tym, co skrywał pod fasadą żartów i strojów. Był nosicielem wirusa HIV, choć zachowywał się, jakby przestał nim być. Nigdy o tym nie wspominał. Trzeba było go dobrze znać, żeby wiedzieć, dlaczego tak się boi kataru i tak denerwuje na widok najmniejszej zmiany skórnej. Pewnego razu, osłabiony wysiękiem stawowym, zniknął na całe dziesięć dni – ktoś widział go potem w Café Marly szczelnie opatulonego w blezer, z laską zakończoną trupią czaszką przy nodze.

W niektóre wieczory osuwał się twarzą na mój policzek. Mleczny błękit jego oczu wlewał się jak balsam do mojej duszy. Za każdym razem obracał to w żart: zgadywał, czym się uperfumowałam, i twierdził, że przysunął się tak blisko tylko po to, żeby to sprawdzić. Dałabym sobie rękę uciąć – pomimo wszystkiego, co opowiadano o jego trybie życia, o szokującym słowie, które sobie wytatuował na członku – że tak jak ja był tylko widzem w teatrze seksu, że był ponad to. Pamiętam pewną dziewczynę w cytrynowożółtej minispódniczce i czarnym podkoszulku na ramiączkach, z burzą platynowych włosów na głowie. Wyrывała się do niego całą sobą, najwyraźniej go rozpoznała albo знаła, nieważne. Stan na jej widok ścisnął mnie za ramię:

– Czego chce ode mnie ta Pszczółka Maja?

Około trzeciej nad ranem przychodziło po niego dwóch asystentów:

– Stan, jedziemy dalej. Chodź, zabieramy cię. – Co oznaczało, że

udają się w nocne miejsca, gdzie jako kobieta nie mam wstępu. Deklarował wtedy, że mnie nie opuści. Że chce ze mną żyć. Może byśmy się pobrali? Tamci się niecierpliwili:

– No już, rusz się. – Choć pozował na kogoś, kto nie musi słuchać niczyich rozkazów, podnosił się jednak z miejsca o tej czwartej rano, poprawiał garderobę i zapinał koszulę, z której oberwał kilka guzików. Lubił pokazywać mi swój tors. Kiedy asystenci wyciągali go na zewnątrz, wyciągał do mnie ramiona i potrząsał rękami jak ktoś, kogo wyrrywają z objęć najbliższej osoby.

Dwudziestego piątego grudnia siedziałam w izbie przyjęć w szpitalu Cochin i czytałam *Nocny lot* Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. Nadepnęłam na szpilkę, która złamała mi się w stopie. Miano mi ją wyciągnąć. Czekałam, byłam w połowie książki. Do mojej izolatki wszedł ortopeda z dwiema studentkami: określił położenie ciała obcego na zdjęciu rentgenowskim, przejrzał narzędzia ułożone na stoliku na kółkach. Kiedy nałożył rękawice chirurgiczne, wezwano go do pilniejszego przypadku. Poproszono, żebym określiła intensywność swojego bólu w skali od jednego do dziesięciu. Powiedziałam: dwa, nie chciałam być ciężarem.

Drzwi do izolatki pozostały otwarte. Po korytarzu biegali zmartwieni, szukający kogoś ludzkiego. Zapytali, czy to nie ja. Odeszli rozczarowani. Sanitariusz w czapce Świętego Mikołaja odprowadzał do recepcji kłoszarda. Tłumaczył mu:

– Nie, nie ma nawet mowy, żebym ci dał dziewięćdziesięcioprocentowy spirytus. Nie, chłopie, ani kropelki. – Trzymał mu rękę na plecach i przy każdym kroku podzwaniał dzwoneczkiem u czapki. Przy ścianie na wózku leżała jakaś kobieta z zabandażowaną głową, której chciało się pić. Salowa, Martynikanka, odpowiedziała, że musi o tym zdecydować lekarz. Kobieta odparła, że przecież jest pacjentem. Salowa na to, że pacjent z definicji charakteryzuje się tym, że cierpliwie czeka^[2]. Kawałek dalej wrzeszczał jakiś mężczyzna. Może ortopeda coś mu zrobił, zanim przyszedł do mnie.

Bohater *Nocnego lotu*, pilot Fabien, jest wyczerpany burzą. Prądy powietrzne nie pozwalają mu oderwać ścierpniętych rąk od sterów. Choć

prognozy przewidywały, że wiatr ucichnie, niebo wygląda złowieszczo. Nic nie widać na horyzoncie. Drugi pilot nie przestaje go pytać, co z nimi będzie. Łączność radiowa z wieżą kontrolną została przerwana. Fabien jest sam wobec narastających trudności. Chmury sprzysięgają się przeciwko niemu. Nie chciał latać w nocy. Jest wytrzymały, ale nie ma już sił. Przez prześwit w chmurach ukazują się gwiazdy. Stwierdza, że ma szansę się przebić. Szybuje w górę. Przelatuje ponad chmurami.

Późnym wieczorem wrócił ortopeda z dwiema studentkami. Przyszła kolej na mnie. Jedna ze studentek spostrzegła w moim ręku *Nocny lot* i powiedziała:

– Czytałam to w liceum.

Odrzekłam, że właśnie skończyłam. Że to fantastyczne:

– Pilot uciekł przed burzą.

Poprawiła mnie:

– Tak, ale zginął.

Na co ja odparłam:

– Ach tak? Naprawdę? Zginął?

Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wyjaśniła:

– Oczywiście, że tak, nie miał dosyć benzyny, żeby zejść na dół.

Ortopedzie nie spodobała się martwica wokół miejsca, w którym utknęła szpilka. Moje ciało walczyło, żeby wydalić ciało obce. W tym akurat względzie, nietolerancji wobec intruzów, mój organizm był nieprzejednany. Zabrano mnie na blok operacyjny. Anestezjolog z góry uprzedziła, że ukłucia w stopę nie są przyjemne. Choć była na dyżurze od dwudziestu trzech godzin, moja odpowiedź ją ubawiła:

– Nie szkodzi, jestem idealistką.

Poszłam do kwaciarni. Olśniona stojącymi samotnie w wiaderku makami, nie zwracałam najmniejszej uwagi na sprzedawcę, który zachwalał wielgachne, aroganckie, konwencjonalne róże. Do tego stopnia, że zaczął mi nimi wymachiwać przed nosem. Podsuwał je tak blisko, że o mało mnie nie pokłuł.

– Ależ ja ich nie chcę, proszę pana – powiedziałam. Mówiłam teraz otwarcie, czego nie chcę. Z oślim uporem tkwiłam przed makami. Z wielką niechęcią, wciąż trzymając róże w jednej dłoni, drugą wyciągnął z wiaderka wątłą wiązanekę złożoną z pięciu wiotkich, opadających na

boki kwiatów. Pokazywał mi równocześnie maki i róże, żebym sama się przekonała, że nie ma porównania. Gdy wciąż się upierałam, spytał:

– Ale to nie na prezent?

Odpowiedziałam, że owszem.

– Ach tak, to na prezent? – powtórzył i podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę. Miałam chociaż wziąć dwie wiązanki, żeby to jakoś wyglądało. Przyznałam mu rację i oznajmiłam, że w takim razie wezmę wszystkie sześć. To go jednak nie uspokoiło:

– Ach tak, wszystkie sześć? – Był taki zdesperowany, że aż wzruszający. I taki młody. Powiedziałam, żeby się nie martwił, że prezent na pewno się spodoba. Słowo „prezent” przypomniało mu, że to nie żart, że naprawdę mam zamiar komuś wręczyć te kwiaty. Rzucił się więc do blatu roboczego po gałązki eukaliptusa i asparagusa. Musiałam mu wyjaśnić, że osoba, której chcę zrobić prezent, woli kwiaty bez przybrania. Że osoba, której chcę zrobić prezent, chce kwiatów w czystej postaci.

To Henrietta wpadła na pomysł, żebyśmy w Wenecji poszli do Museo Correr. Dzieciom obiecała, że zobaczą salę z uzbrojeniem i obrazy z paniami w pięknych strojach. Nam zaś – że padniemy z wrażenia przed rzeźbami Canovy.

Miała rację. Znajdowały się w głównej sali ekspozycyjnej, przy wejściu. Marmurowe freski przedstawiające scenki rodzajowe. Henrietta wyjaśniała nam, do czego się odwołują. Słuchaliśmy nieuważnie. Nie chcieliśmy się dowiadywać, chcieliśmy doświadczać. Napawaliśmy się wyniosłą obojętnością kamiennych twarzy. Barkami przechodzącymi w ramiona, ramionami przechodzącymi w dłonie, maleńkimi stopami, ponętными brzuchami, umięśnionymi łydkami, bezgłośnym tańcem. Drapowanymi strojami, rzemykami u sandałów. Dzieci przechodziły cierpliwie od sceny do sceny, komentując każdą stronę tego niezwykłego komiksu. Cudowność rzeźb Canovy poruszyła nawet Carlosa, który za wszelką cenę chciał je sfotografować i nie rozumiał, dlaczego strażnik mu tego zabrania. Córeczka Henrietty postanowiła zaś ich dotknąć. Nie wolno było jednak nawet tego. Pierre kazał jej się cofnąć. Wpadła w rozpacz, nie zważając na przelewający się wokół tłum zwiedzających. Przykucnęła gniewnie, niepokorzona z niesprawiedliwością losu,

zamiatając posadzkę swoją śliczną bladozieloną sukienką. Łzy płynęły po jej pyzatyh policzkach, które przez wzbierające w jej ustach niedozwolone słowa czyniły jeszcze wydatniejszymi. Musiała zdławić w sobie miłość ideału.

– Kłamczuchy! Kłamczuchy! – krzyczała. – Jesteście paskudni, tylko to jest piękne! – wypaliła na koniec. Genialna uwaga w ustach pięciolatki. Poznała po naszych minach, że chyba powiedziała coś śmiesznego. Mogła albo dać nam się rozweselić, albo zaciąć się w swoim gniewie. Była córką Henrietty i Pierre’a – wybrała to pierwsze rozwiązanie. Jej usta przestały przypominać podkówkę. Burza minęła. Wytarła nos i najspokojniej w świecie zapytała swojego tatę, czy to dlatego nie można głaskać marmurowych ludzi, że są nieżywi. Pierre odpowiedział żartem i zaproponował, żebyśmy przeszli do obrazów z paniami w pięknych strojach. Króciutkie włosy dodawały mu wiele autorytetu – pracował w policji śledczej. Kilka sekund i już naszej grupy nie było w sali.

Tylko ja wciąż przyglądałam się białej ludzkości. I pożałowałam marmurowych twarzy.

Rue de Rome w Paryżu. W sklepie muzycznym, w dziale instrumentów dętych, stał wielki mężczyzna. W rękach trzymał trąbkę i obracał ją w tę i w tę jak rewolwerowiec swoją magnetyczną broń. Gdy byłam małym dzieckiem, nigdy nie oglądałam westernów do samego końca, bo musiałam iść spać.

Było cicho jak makiem zasiał, kiedy wyjął z kieszeni ustnik, zamocował go i uniósł trąbkę do ust. Jego policzki wydeły się tylko minimalnie, nie zdążyły się nawet wydać śmieszne. Płynąca wolno, umiejętnie, lecz mimo to leniwie i spokojnie, muzyka nie miała nic wspólnego z ruchem ulicznym, który tracił przy niej wszelki sens. Cztery palce naciskały na przemian przyciski, tylko cztery palce. Esencja pieśczoły. Niezwykła delikatność melodii, pokojowość i melancholijność trębacza zmuszały do zmiany zdania o jego tuszy i niedbałym beżowym stroju oraz o ludzkiej niezgrabności w ogóle.

Gdy skończył, rozległy się oklaski. Nawet ludzie stojący na zewnątrz, za szybą wystawową, choć słabo go słyszeli, niemal bezdźwięcznie bili brawo. On zaś ani razu nie podniósł oczu, tylko

pocierając brodę, zafrapowany przyglądał się trąbce. Nikt w sklepie nie odważył się do niego podejść. Nawet sprzedawca, stary wyga. Powoli powrócił gwar głosów. Trębacz dumał zaś dalej w swoim kącie nad niewybrzmiałymi dźwiękami.

Poszłam do niego. Niepostrzeżenie skierowałam swoje kroki do maga. Ruszyłam, minęłam sprzedawcę, kupujących, instrumenty klawiszowe, gitary elektryczne, doszłam do saksofonów. Przesunął się, żeby zrobić mi przejście.

– Chciałam panu pogratulować. – Nie spodobało mu się, że jestem kobietą. Trąbka nagle zaczęła mu przeszkadzać, chciał ją gdzieś odłożyć albo całkiem się jej pozbyć.

– Pana muzyka jest bardzo delikatna – powiedziałam. Wzruszył ramionami.

– Próbowала pani kiedyś w to dmuchnąć? – Jego szorstki głos przeczył temu, co przed chwilą można było usłyszeć. Mierzył mnie wzrokiem. Poprosił sprzedawcę o drugi ustnik. Przymocował go i podał mi trąbkę: – Niech pani spróbuje.

To była prowokacja. Wyzwanie rzucone przez ekstremistę. Dmuchałam w trąbkę, cóż miałam zrobić. Nie wydobył się z niej żaden dźwięk.

– Dalej! Jeszcze! – drażnił się ze mną. Wreszcie udało mi się uzyskać jakiś niepozorny dźwięk.

Naśmiewał się:

– I co? Łatwo się gra na trąbce? Chodźmy się czegoś napić – zaproponował.

Dzielił ludzi na dwie kategorie: mężczyzn i kobiety. Należący do najwyższej kasty mężczyźni zadowalali się rozkoszą seksualną. Sentymentalne kobiety były za nimi daleko w tyle. Opowiadał mi o nich, jakbym nie była jedną z nich, tylko wspólnie z nim badała ten osobliwy fenomen:

– Mylą uczucia z fizycznością. – Nie przychodziło mu na myśl, że taka postawa może być zaletą, czy wręcz przejawem bohaterstwa. Mężczyzna potrafi doświadczać rozkoszy bez miłości. Kobieta nie. Spytałam, jak w takim razie wytłumaczyłby istnienie autoerotyzmu u kobiet, na przykład to, że kobieta doprowadza się do rozkoszy zabawką

erotyczną przed snem. Nie wierzył, że to może być prawda. Przyznałam, że mówiłam o sobie. Obruszył się:

– A gdybym ja zaczął pani opowiadać o dmuchanych lalkach? Jak by pani zareagowała?

Stwierdziłam, że według mnie dmuchana lalka wzbudza więcej uczuć niż erotyczna zabawka. Lalka przypomina przynajmniej człowieka. Zabawka erotyczna zaś imituje jedynie pewną funkcję. Chwycił stolik obiema rękami. Myślałam, że go przewróci i wybiegnie z kawiarni.

Stwierdził, że prezentuję się w niezbyt efektowny sposób, jakby to była rozmowa o pracę, a ja powinnam odpowiednio się zachowywać, żeby dostać angaż. Że to mało seksowne. Jakby sam wypadał lepiej. Od sześciu miesięcy nie mógł się zaprzyjaźnić z żadną kobietą.

– Wydaje im się od razu, że jestem zakochany, a ja chcę po prostu być miły.

Nawet panie w pewnym wieku (nie odważyłam się spytać, co to dla niego oznacza), choć fakt, że wkrótce przeniosą się do wieczności, powinien je czynić pokornymi i niewymagającymi, miały oczekiwania i stawiały warunki.

Niedawno skończył czytać *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. Zastrzegł się, że nie jest to książka, jakie ma w zwyczaju kupować. Dla niego liczyli się przede wszystkim Faulkner i Kierkegaard (może czytałam?). Nawet nie usłyszał, że przytaknęłam. Cóż, musiał oczywiście przewyciężyć swoją niechęć do szmiry, ale ostatecznie znalazł w tej książce potwierdzenie niektórych swoich tez. Mężczyzna ma instynktowną potrzebę dominacji. Mężczyzna od czasów jaskiniowych ma naturę łowcy. Mężczyzna stale odczuwa pożądanie. Wymieniał te niewzruszone dogmaty, wskazując palcem (jednym z tych, którymi grał na trąbce) w kierunku pewnej części swojego ciała.

Sztuka była tylko jedną ze sfer, w których żadna kobieta nie mogła mu towarzyszyć.

Moja znajoma z pracy była tego dnia zupełnie przybita. Nie wiedziała o mężczyznach kompletnie nic, nawet tego, gdzie można ich spotkać.

– Po prostu ich nie ma – biadała.

Próbowałam wyprowadzić ją z błędu. Kiedy napomknęłam o Stanie, spytała, czy kpię. Wypatrywałyśmy, czy jakiś nie idzie po ulicy. Nie widziałyśmy ani jednego. Czyżby pozbawiono nas któregoś ze zmysłów? A może to była choroba cywilizacyjna?

Wyobrażałyśmy sobie, co zrobimy, kiedy wreszcie jakiegoś spotkamy. Zagadniemy go same, nie czekając, aż zrobi to pierwszy. Chyba że, cudownym zrządzeniem losu, zafascynowany nami, to on podejdzie do naszego stolika. Powiedziała, że to tylko mrzonki, że to się nigdy nie zdarzy. Mnie owszem, wydawało się to możliwe, musiałyby to być jednak mężczyzna szalony, z kawalerską fantazją, właściwie bóg na ziemi.

– Widziałaś gdzieś ostatnio boga na ziemi? – powątpiewała.

Odpowiedziałam:

– Bóg jako absolut!

No, chyba że miał to być prawdziwy demiurg, wtedy mogła się zgodzić. Szukałyśmy dla niego zawodu. Wertowała w pamięci znane sobie profesje. Wymyśliła, że mógłby być adwokatem. Obie znałyśmy jednak adwokatów, którym daleko było do bożyszczy. Zabrnęłyśmy w kolejny ślepy zaułek.

– Po prostu ich nie ma, mówię ci – zaczęła od nowa. Widząc, że ulega defetyzmowi, puściłam wodze wyobraźni i wymyśliłam, że nasz bóg jest obdarzony talentem.

– To dyrygent. W nocy jego plecy wznoszą się i opadają albo ku chwale muzyki, albo miłości. – Spodobał jej się ten pomysł, poweselała. Dopytywała, czy ma jeszcze coś szczególnego. Ciągnęłam więc: – Jest wielkim Chińczykiem powszechnie znanym na świecie dzięki swoim podróżom i zażyłości z Mozartem. Jeździ po różnych krajach, spotyka się z kobietami, lecz to dla niego tylko rozrywka, sztafaż, ponieważ szuka tej jednej jedynej. Rozpozna ją bez trudu pośród innych. Jego wybranka bowiem kroczy nieskrępowana, sunie majestatycznie ulicą w luźnym stroju, a wspaniałości jej ciała można się domyślać jedynie po cienkich kostkach u nóg i przegubach dłoni – jej sekrety są już niedaleko. Zbliża się do niej.

Ukoiłam trawiącą ją tęsknotę. Ona była syta, a ja wypompowana. Nie mogła wydobyć słowa. Oczami wyobraźni widziała Chińczyka.

Mężczyznę, którego powołałam do życia.

W przeciwieństwie do mnie była nieskomplikowaną dziewczyną – wiedziałam, że w końcu go spotka.

Szła przede mną rue d'Assas, jej zwiewna, muskająca chodnik suknia miała piaskowy, szarobeżowy kolor piór synogarlicy. Podążałam za nią. Szłam tam, gdzie ona, lecz jednocześnie jakby w przeciwnym kierunku: trzymałam się na największą możliwą odległość, urzeczona dzielącymi nas różnicami. Czy miałyśmy ze sobą cokolwiek wspólnego? Ja – w cynobrowej sukience z rozpięciem z przodu i w białych, dodających stopom wdzięku (a przynajmniej miałam taką nadzieję) sandałkach na obcasach. Ona – zupełnie inaczej. Ascetyczny, obszerny habit. Sięgający ramion welon. Czemu miało służyć to przebranie? Przecież jej twarz, częściowo tylko zasłonięta, w oprawie okalającej ją tkaniny sprawiała wrażenie raczej wystawionej na pokaz niż zakrytej. Jej kamuflaż w porównaniu z moim mógł się wydawać wątpliwy. Która z nas tak naprawdę bardziej zwracała na siebie uwagę na spalonej lipcowym słońcem ulicy? Wydało mi się oczywiste, że jej strój w istocie ostrzega: „Proszę mnie nie dotykać”. Był czymś w rodzaju permanentnego, fundamentalnego zaklęcia, ponawianego co dnia do ochrony przed pożądaniem.

Zatrzymała się przed piekarnią, jej twarz odbijała się w szybie wystawowej. Co za twarz. Obnażenie biegnące ku skroniom, spływające w ofierze po policzkach. Wyzbyła się pierwotnego instynktu. W zamian zyskała nieokreślony spokój. Miała schronienie. Przypomniałam sobie puste słowa ludzi Kościoła. Wszystkie te metafory, wszystkie te „na wąskich uliczkach, na szerokich gościńcach, głośmy nowinę, że Bóg stał się człowiekiem”. Rzeczy, w które nie wierzyłam. Które nie mogły w żaden sposób mi pomóc. Jakie proste musiało być życie dla młodej siostrzyczki, która właśnie zniknęła za drzwiami, pozwoliwszy mi zajrzeć na moment do swojej niedostępnej klauzury.

Rozdział 6

Mówiłam, że ma niebieskie oczy, a on się zaklinał, że są zielone. Mówiłam, że jest przystojny, a on chrząkał zażenowany i zapewniał, że przystojny to on na pewno nigdy nie był. Mówiłam, że wygląda imponująco, a on podnosił się od stolika, żeby mi udowodnić, że uległam złudzeniu. Stał i wzdychał, wzruszając ramionami. Kiedy znów usiadł obok mnie, pośród osób, z którymi nie miał już teraz zupełnie nic wspólnego, czułam, że go kocham.

Próbował się nie angażować, udawać kogoś, kto nie dba o to, że został wybrany. Nie mógł jednak pohamować ciekawości i co chwila podczas tej kolacji posyłał mi pytające spojrzenia. Staralam się zawrzeć w uśmiechu wszystko to, co nie było moim ciałem i mogło pofrunąć. Nie potrafiłam bowiem wzbudzić w sobie niczego innego. Opowiadałam mu szeptem śmieszne historie. Już sam jego śmiech mnie zachwycił. Nie mógł wyjść ze zdziwienia, że został zauważony. Uczciwie nie krył przede mną swojego zdumienia. Być może nigdy nie zdarzyło mu się nic podobnego. Choć oszołomiony, przyjmował moje awanse z pogodnym, wyrozumiałym czołem kogoś, kto zgadza się przynajmniej rozważyć propozycję. Musnęłam palcami jego nadgarstek. Chwycił moją dłoń i już nie puścił.

Kiedy na ulicy całował moją szyję, odchyliłam głowę do tyłu i patrzyłam na obsypane kwieciem kasztanowce. Miałam gołe ramiona, zaparłam się o samochód. Poruszał biodrami, imitując przez ubranie ruch, którego się wyrzekłam. Zapomniałam, jak celowe jest to kołysanie. Nie można było zignorować pożądanego i jego dowodów. Ośmieszę się? Trudno. Moje ciało i tak już się rygowało w strategicznych miejscach. Stukały zamykane okiennice, strzelały przepalone bezpieczniki. Gdzie się podziały te powszechnie znane ruchy, których nikt nie zapomina i których nikogo nie trzeba uczyć? Strach przeszedł mi po plecach kocimi pazurkami. Moje ołowiane ramiona udaremniały wszystkie jego pieszczoty, niweczyły wszystkie jego starania. Nie wiedział już, gdzie mnie dotknąć. Co miałam zrobić? Byłam całkowicie obezwładniona. Jak robili to inni ludzie? Można by przypuszczać, że nauczy mnie tego w

brawurowym natarciu przypadkowy kochanek. Spróbował jeszcze raz mnie do siebie przyciągnąć. Odepchnęłam go na pień kasztanowca. Skóra poparzona przez meduzę tylko pozornie się goi: gdy zbyt wcześnie wystawimy ją na słońce, ukazują się blizny – straszne, niezmiennione, brązowawe. Ani on, ani nikt inny, nie mógłby tamtej nocy w żaden sposób pomóc mojemu zawodzącemu z rozpaczy sercu. Nikogo nie kochałam.

Jestem żywym dowodem na to, że można przeżyć zawód miłosny bez miłości. Kiedy następnego dnia przejrzałam się lustrze, zamiast ciała, twarzy i rąk, którymi machałam na próbę, zobaczyłam jakąś mglistą postać. Ja, która kiedyś byłam lustrzanym odbiciem swoich przyjaciół, w ciągu jednej nocy zamieniłam się w rozmytą plamę podobną do tych, które widać przez maćcone szkło. Byle co było bardziej materialne ode mnie: byłam tak przezroczysta, że widziałam zarys znajdujących się za mną przedmiotów.

Usiadłam na ziemi i położyłam głowę na kolanach. Byłam stracona. Chciałam rzucić się z mostu do Loary, której wody są najzdradliwsze. Skoczyć z zapory wodnej. Nie mogłam dłużej żyć, bo zdałam sobie sprawę, że życiem fizycznym obdarza nas druga osoba. Trzeba, żeby ktoś, jak matka dawno temu, gdy byliśmy dziećmi, powtarzał nam nieustannie: „To są twoje oczy, to są twoje plecy, twoje ręce, twoje rzęsy, twoje zęby, cętki na twoich tęczówkach, pieprzyki na twojej skórze, a to twoje smukłe jak oszczep ramie...” Inaczej tego nie wiemy.

Skończyły się moje dawne rozkoszne kąpiele. Gdyby teraz moje ciało wynurzyło się z piany, chybabym je wepchnęła z powrotem w dół. Byłam zdumiewająco silna jak na kogoś moich rozmiarów. Trzymałabym je pod wodą tak długo, aż by się utopiło, zdrętwiało zduszone. Przestałoby wreszcie sprawiać problemy. Tymczasem wciąż wypływało na powierzchnię jak gdyby nigdy nic. Wredne ciało, które mi się zacięło pod kasztanowcami.

Po południu zadzwonił telefon. Nieznany numer, więc nie odebrałam. Ale odsłuchiłam wiadomość. Męski głos, z początku niewiele rozumiałam, bo dobiegał z daleka: musiał się przedrzeć przez watę mojego lęku, zapinające się w mnie błyskawicznie sekretne zamki.

Usłyszałam najpierw:

– Wczoraj... dość niespodziewanie... – Potem, już wyraźniej: – Zastanawiałem się, czy miałabyś ochotę wybrać się ze mną dziś wieczorem do Musée du Jeu de Paume. – Wieczorem zaś ostatnie, przenikliwie: – A więc jednak udało ci się wyrwać?

Ułożyłam moje książki w stos i zaniiosłam na śmietnik. Ich treść była do niczego nieprzydatna. To były w końcu tylko zmyślane historie. Książki, które przeczytałam, autorzy (Elsa Morante, Gabriel García Márquez, Albert Camus, Jim Harrison, Virginia Woolf, Louis Aragon, Paul Éluard), których słowa chłonełam, wiersze („Jesteś wielkim słońcem / Które uderza mi do głowy / Gdy jestem pewny siebie”^[3]) – wszystko to było dobre dla naiwnych. Zagubiłam się w swoich marzeniach. Tak długo szukałam schronienia, aż w końcu je znalazłam – w więzieniu. Zakułam się w zbroję ideałów. Co gorsza, była to zbroja, którą nosiłam wewnątrz siebie, pod mylącą powłoką ciała.

Tak długo chodziłam tam i z powrotem, aż wyniosłam z domu wszystkie swoje skarby. Choć byłam młoda, miałam przy tym plecy starej kobiety. Przemierzałam klatkę schodową niczym zgięta we dwoje, budząca litość babina. Niosłam w rękach książki, podtrzymując je brodą – to straszne, lecz choć składałam je w ofierze, wciąż je kochałam. Tak mi było żal niszczyć moje skarby. Pojękiwałam. Narzekanie jest w pewnym sensie przyjemne. Do diabła, mogłam sobie darować...

Stosy ułożonych w rzędkę książek piętrzyły się na posadzce wokół koszy na śmieci. Pomieszczenie wypełniała mdląca woń moich zawiedzionych nadziei. Zamykając drzwi, miałam wrażenie, że zostawiam palenisko, w którym tli się jeszcze jakaś iskierka. O mało nie wróciłam, żeby ją przydeptać. Żywotność sztuki była doprawdy irytująca. A może powinnam z nimi zostać? Może i moje miejsce było tam, wśród odpadków? Wróciwszy do mieszkania, osunęłam się na kanapę, jeśli nie z ulgą, to przynajmniej z większą jasnością myśli. Nie będę już sobie zawracać głowy literaturą.

Już zasypiałam, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Sąsiadka, z książkami w rękach. Poczułam się jak w koszmarze: sądziłam, że mi je odnosi. Ale nie, przyszła tylko podziękować:

– Są jak z księgarni, a nawet jeszcze fajniejsze, bo to rzeczy, które

pani naprawdę lubiła. – Cofnęła się w kierunku schodów, przyciskając do piersi bogactwa, z których ja nie potrafiłam zrobić użytku.

Przyniosła ze sobą brioszkę, którą teraz zajadała. Tosca przyjechała z Balearów w wieku osiemnastu lat, żeby studiować w Paryżu język chiński. Obiecałam jej rodzicom, że się nią zaopiekuję. Poznałam ją, jeszcze gdy była dzieckiem.

Przyszła bez zapowiedzi wczesnym rankiem, nieświadoma trzęsienia ziemi, które właśnie przeżywałam. Musiała ze mną porozmawiać. Pieniła się ze złości, oburzenie napinało jej piękną szyję. Cokolwiek robiła poprzedniej nocy, musiała to robić wbrew sobie. Przyszła mi oznajmić, że zdecydowała się przyjąć pewną postawę – moją mianowicie. Czy względy, którymi obdarowywała mężczyzn, delikatność, którą pozwalała im ująć w dłonie, spotykały się z życzliwym przyjęciem? Nie. Chłopcy brali „tak” Toski za banalny element gry wstępnej. Nigdy nie byli zadowoleni. Nigdy nie byli syci. Domagali się niestworzonych kontynuacji ich igraszek, twierdząc, że cała reszta się nie liczy. Cała reszta – dar, w którym Tosca składała samą siebie. Bezcenna młodość Toski. Miała dziewiętnaście lat.

Ci durnie uważali wspaniałość za coś sobie należnego.

– Nie zgadłabyś, co usłyszałam!

Nie chciała już być chętna.

Było mi przykro. Bo Tosca była nie tylko niepospolicie piękna, ale i inteligentna. Nie zadowalała się pobieżną wiedzą. Czy mężczyźni tego nie widzieli? Gdy opowiedziałam jej o jakiejś książce, zaraz biegła ją kupić. Dwa dni później, przejęta, dzieliła się ze mną swoimi wrażeniami. Po roku ślęczenia nad ideogramami, porażona złożonością kultury Dalekiego Wschodu, odważyła się wyjechać na trzy miesiące do Hongkongu – całkiem sama. Pisała do mnie stamtąd e-maile, których nadejście oddzwaniało w nocy ustawione przeze mnie specjalne dźwiękowe powiadomienie. „Sophie! Dzisiaj jakiś człowiek na ulicy zrozumiał, co do niego powiedziałam!” – pisała pewnego razu. I właśnie ta dziewczyna – która potrafiła porozumieć się z Chińczykiem i wyprawić samotnie na drugi koniec świata – nie mogła dojść do ładu z prostytutkami w Paryżu. A przecież zgodziłaby się na wszystko, gdyby ktoś ją umiejętnie wprowadził.

– Chcę żyć tak jak ty, dla sztuki – deklarowała. Była dumna, że się wyzwoliła. Na plecach trzeszczały jej skrzydła. Milczałam. Nagle, zaintrygowana, powiodła wzrokiem po moim salonie: – Co się stało z twoimi książkami?

W Paryżu w lecie pogoda nigdy nie utrzymuje się długo – panująca tamtego roku kanikuła była wyjątkiem. Co robiłam na Montmartrze w taki skwar? Była druga po południu. Wokół sami turyści, którzy musieli wyjść z hotelu, żeby opłacić im się pobyt. Między innymi grupka przyjezdnych z Quebecu. Z tym kojącym, optymistycznym akcentem. Trzymałam się blisko, chłonąc ich pozytywne nastawienie do świata. Szli w górę do Sacré-Cœur, podążylam więc za nimi.

Na szczycie od razu przepadli w czeluściach kościoła, a ja wraz z nimi. Choć bazylika Sacré-Cœur jest mało uduchowionym zabytkiem, panujący w niej chłód gasił pragnienie. Z letniego żaru przenieśliśmy się do wieczności. Wszyscy skrapiali się święconą wodą. Ktoś stale ją uzupełniał. Połączany Chrystus wyciągał do nas ręce. Wiedziałam, że ani jego uczynnie wypięta pierś, ani wszechobejmujące ramiona nie pomieszczą trapiących mnie smutków. Przechadzałam się, oglądałam kolebkowe sklepienia, pilastry, podpory i ławki, ale nic z tego wszystkiego do mnie nie przemawiało. Wzdłuż przejścia umieszczono napisy informujące, że spowiada się tutaj przez cały dzień. W mroku konfesjonau siedział ksiądz. Czytałam kiedyś w gazecie, że przez długie lata właśnie do tej bazyliki przychodzili przestępcy mieszkający poniżej boulevard de Rochechouart, kiedy kogoś zabili: to tutaj mogli ulżyć sumieniu i znaleźć chwilowe zapomnienie przed powrotem na drogę występku.

Byłam pewna, że siedzący na taborecie ksiądz wziął mnie za penitentkę. Okrągłe nosy jego butów wyglądały jak z disneyowskich bajek dla dzieci. Przez chwilę wydało mi się, że widzę w półmroku białe rękawiczki Myszki Miki – ale nie, to były tylko jego pulchne palce. Mimo wszystko nagle zapragnęłam otworzyć się przed tym bożym sługą. Opowiedzieć mu o obezwładniającym mnie strachu. Wyznałabym mu, że nie potrafię już grzeszyć. Przypomniałam sobie, jak kiedyś, w kościele Najświętszej Marii Panny w Passy, w szesnastej dzielnicy Paryża, ojciec Mario żądał ode mnie szczegółów. Już wtedy spowiadałam się z

niepopelnionych grzechów, zmyślając je, żeby go zadowolić. Jakimi słowami miałabym opisać moje dzisiejsze przewiny? Miałam powiedzieć: „Ojcze, żałuję, że prowadzę się cnotliwiej niż twoje owieczki”? Co by pomyślał mój kierownik duchowy o tak zatwardziałej czystości?

Co mógł poradzić Bóg, który prawdopodobnie miał ten sam problem co ja?

Znalazłam go na chodniku. Portfel z granatowej chromowej cielecej skóry, wystarczająco długi, żeby pomieścić książeczkę czekową, ze złotym zapięciem – Hermès. Model Béarn. Dwa miesiące temu musiałam zrezygnować z zakupu podobnego. Teraz zaś ten – pusty, wyglądający jak nowy – wpadł mi w ręce jakby tytułem rekompensaty. Jak nagroda pocieszenia. W pobliżu nie było oczywiście żadnego sklepu ani innego miejsca, w którym mogłabym zostawić numer telefonu; żadnego widocznego parapetu, na którym mogłabym go położyć. Gdybym go wzięła, byłby mój.

W komisariacie z trudem przyszło mi podać go funkcjonariuszce policji. Zrobiłam to tak niechętnie, jakbym sama go zwinęła, a teraz, ponieważ ruszyło mnie sumienie, chciała oddać. Policjantka kazała mi usiąść. Obejrzała go – nie sposób było orzec, czy przez ciekawość, czy z czysto zawodowego obowiązku. Położyła między nami jako dobro wspólne. Z przenikliwością godną porucznika Columbo wydedukowała, że złodziej musiał być analfabeta: inaczej zwróciłby uwagę na napis „Hermès Paris”. Nawet kompletny ignorant wiedziałby, co to oznacza. Przytaknęłam. Przyjęła ode mnie krótkie zeznanie: poświadczyłam, że znalazłam portfel z chromowej cielecej skóry, koloru granatowego, ze złotym zapięciem w kształcie litery H, z oznaczeniem „Hermès Paris” w środku, na rogu rue Royale i rue Saint-Honoré. I że był pusty. Sprawdziłyśmy jeszcze raz wspólnie dla wszelkiej pewności.

Poinformowała mnie, że zdeponują go w Biurze Rzeczy Znalezionych Miasta Paryża. Zażartowałam, że to skarb. Zaprzeczyła stanowczo: skarb to znaleziona przypadkiem rzecz, którą wcześniej ukryto lub zakopano.

– A w tym wypadku nie miało miejsca ani ukrycie, ani zakopanie – podkreśliła, nieco już podejrzliwa.

– Oczywiście, ja niczego nie ukryłam – skłamałam.

Leżał na chodniku przy moście Aleksandra III. Biedny chłopak. Jakiś mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami odganiał gapiów. Nawet nie udawał, że ranny musi mieć czym oddychać. Po prostu wyciągniętą do przodu dłoń trzymał nas na dystans. Ludzie dreptali tam, gdzie im kazał. Gdy tylko jednak opuścił ramię, niezdrowa ciekawość brała górę i znów się przysuwali. To nie była nasza wina, że chcieliśmy zobaczyć umarłego. Każdy z nas wiedział, że dla tego ciała nie ma już żadnej nadziei. Zdawało nam się, że jego brzuch powoli się unosi i opada, lecz to ruszaliśmy się jedynie my, żywi. On był nieruchomy jak kamień. Jego stopy były przykryte marynarką. Jeśli należała do mężczyzny w koszuli z krótkimi rękawami, tym bardziej miał prawo wymagać, żebyśmy się cofnęli.

Ludzie pochylali głowy nad nieruchomą twarzą, która w obramowaniu długich rozpostartych blond włosów przypominała tandetne lustro w kształcie słońca. Widać było tylko jej dolną część – żuchwę.

Sinoblada broda, młodzieńcze usta skłaniały do zadumy. Czekaliśmy na moście na pomoc chyba w dwadzieścia osób, wiedzieliśmy, że przyjadą także po nas, że nas przegonią. Mężczyzna bez marynarki wciąż czuwał przy ciele jak cerber. Nadchodzące osoby próbowały się dowiedzieć, co się stało. Kiedy ktoś go pytał, czy to coś poważnego, wbijał mu wzrok nie w oczy, lecz w czoło, w czaszkę, jakby chciał się odwołać do jego rozsądku. Każdy, kto się z nim zderzył, kto zobaczył nienaturalnie białą dłoń chłopaka, tracił spokój ducha. Osłabiali nam morale.

Wreszcie przyjechali ratownicy z noszami. Pochylili się, podnieśli. Zamienili kilka słów z mężczyzną w koszuli. Nie był lekarzem – był kucharzem w restauracji Chez Francis przy place de l'Alma. Gdy godzinę wcześniej przechodził przez most, zobaczył, jak młody mężczyzna został potrącony przez samochód, wystrzelił w powietrze, spadł jak pocisk dziesięć metrów dalej, uderzył głową o barierkę i już nie wstał. Pokazał palcem poruszonym tą opowieścią strażakom miejsce, w którym doszło do zderzenia, oraz łuk, który zatoczyło w powietrzu ciało. Żeby wszystko było jasne, odsłonił to, co wcześniej przykrył marynarką. Chłopak miał na nogach rolki.

Rozdział 7

Spotkanie z Carlosem przy boulevard Saint-Germain. Zachowywał się dziwnie, patrzył dokoła błędnym wzrokiem. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz, choć termometr w oknie wystawowym apteki wskazywał dwadzieścia dziewięć stopni. Był zdumiony, że o niczym nie wiem: wyniósł się z domu. Rozmawiał już o tym przez telefon z Henriettą, Pierre'em, ekipą z Hydry, bazylejczykami, a nawet swingersami. Ostrzegł mnie więc:

– Jeśli ty też masz zamiar zacząć, lepiej nie otwieraj ust.

Pomieszkiwał u kuzyna przy rue de Beaune.

– Tak, Beaune jak przytułek^[4]. Nie mogę niczego przełknąć – dodał, jakby to tłumaczyło jego żaloszny stan. Przy avenue Raymond-Poincaré Vionne i dzieci go przeklinały. To była jego decyzja. Nic definitywnego, potrzebował tylko kilku dni, żeby ochłonąć. Napomknął o tym Vionne pewnego ranka w salonie, w pełnym słońcu, z otwartymi ramionami, sowizdrzalskim tonem, jak o jakimś fajnym pomysle czy niewinnej psocie. Tak, czemu nie: jakby to była część gry miłosnej. Vionne prawie się dała przekonać.

Tyle że w ciągu dnia znalazła zadekowaną w szafie, spakowaną walizkę z jego ulubionymi rzeczami. Po powrocie z pracy Carlos musiał się przyznać, że działał z premedytacją. Wściekły, że postawiono go w stan oskarżenia za neseser z dziesięcioma koszulami w środku, zawinął się na pięcie i wyszedł. Jego młodszy syn wysłał do niego długi e-mail, w którym napisał: „Powód, który podałeś mamie, jest obrzydliwy”.

– Powód? – spytałam.

– Ach tak, powód – odpowiedział. Był znużony jak ktoś, komu każą bez ustanku powtarzać to samo. – Przestała mnie pociągać, rozumiesz?

Nawet mnie wydało się to kiepskim argumentem. I ja byłam uprzedzona.

– Co dokładnie powiedziałaś Vionne?

Wzruszył ramionami:

– Wszyscy jesteście zabawni! Jak to co? Prawdę. Jak niby miałbym

jej skłamać? W miłości, zgoda, zawsze możesz się jakoś wyłgać, bo tego nie widać. Ale w seksie? Albo ci staje, albo nie, widać wszystko jak na dłoni.

Błędem byłoby mniemać, że Carlosa opętał jakikolwiek demon. Gdyby to tylko od niego zależało, żyłby dalej z Vionne w związku pozbawionym erotyzmu, lecz pełnym czułości. Niestety, zamiar pozostania z Vionne w przyjacielskich jedynie stosunkach nie miał szans powodzenia. Od miesięcy brała każdy miłszy gest z jego strony za oznakę powrotu namiętności i wieczorami pożądliwie nastawała na niego w małżeńskim łóżu. Myślał nawet, czyby nie spróbować z innymi kobietami, może by załapał, jak na korepetycjach. Niestety, także na tym polu okazał się mięczakiem: chciał powoli, cichaczem wymknąć się ze swojego małżeństwa, ale zabrakło mu na to jaj, bo najwyraźniej oddał je w zastaw żonie. Nie mogłam mieć za złe Carlosowi jego dosadności – była jak świeży powiew. Nie zdawał sobie sprawy, że go podziwiałam.

– Pewnie masz mnie za nędznego uciekiniera?

Z emocji nie mógł wydobyć głosu. Zrozumiałam, że mężczyźni nie mają przed kim otworzyć serca. Są pod tym względem biedniejsi niż my. Uczucia, które usiłują przełknąć, kneblują im usta.

Dnie spędzałam, drzemiąc na plaży pod słomianym parasolem. Wieczorami siedziałam na zgrzebnym stole pod białym namiotem. Z zewnątrz dobiegały nierealne dźwięki – życie toczyło się dalej, gdy siedziałam tam naga. Pajane, zanim zaczął mnie masować, wylewał mi na czubek głowy kropla po kropli ciepły olej, który spływał mi obficie po karku i po ramionach. Wolną ręką (w tamtej trzymał dzbanuszek) przeciągał go aż na blat stołu. Jego dotyk nadawał kształt mojemu ciału. Zamiast kreślić w powietrzu takty melodii, rysował rękami moje granice, moje kontury. Kobieta spowita jedwabnym trykotem zaczyna rozumieć, co pod nim nosi. Wnika w siebie, zamyślona. Podobnych cudów dokonywały teraz ręce. Moja natłuszczona głowa opadała na nieskazitelnie białą kurtkę Pajane’a. Jeśli się powstrzymywałam, żeby go nie pobrudzić, sam przyciskał do siebie mój kark. Przeciągał palcami po moim kręgosłupie. Stworzony do pławienia się w rozkoszy mały faun, który przeczekał skulony gdzieś pod komodą wszystkie najazdy na moje ciało, budził się do życia.

Żeby dać mi do zrozumienia, że mam się położyć, Pajane kładł dwa palce na końcu drewnianego blatu, wskazując niewidoczną poduszkę. Jeśli chciał, żebym się odwróciła, kładł mi je na plecach albo na brzuchu. Smarował mnie takimi ilościami oleju, że kiedy mnie masował, najbardziej wystające części mojego ciała ślizgały się na stole. Moje stopy uderzały wówczas o jego miednicę. Ośmielałam się otworzyć oczy tylko wtedy, gdy leżałam na brzuchu z twarzą w specjalnym zagłębieniu umożliwiającym właściwe ułożenie karku. Widziałam wtedy idealne stopy Pajane'a, jego różowe paznokcie, białe spodnie wywinięte nad jego zachwycającymi kostkami. Myślałam sobie, że powinnam była zawsze wybierać pięknych mężczyzn. Nie miałam zbyt wiele czasu na podziwianie tych wspaniałości, bo wkrótce Pajane chwycił mnie za skórę na plecach (przypominałam teraz raczej uległego charta niż dalmatynkę) i znów skrywałam się pod powiekami.

Czasami stawał przede mną, gdy siedziałam na stole, i przyciskał mnie do swojej kurtki. Moje nogi zwisały po obu stronach jego bioder. Kładł mi obie ręce na łopatkach i łagodnie je odciągał. Czułam, jak przez otwarte wrota moich pleców wylatują wrony. Potem mnie puszczał. W zdumieniu próbowałam uchwycić jego spojrzenie, ale widziałam tylko światło sączące się przez barierę rzęs.

Rano myślałam tylko o tym, żeby jak najwcześniej dotrzeć do namiotu masażystów i zdążyć zarezerwować Pajane'a. Nabierałam giętkości. W wodzie moja nowo nabyta teleskopowa szyja wyciągała się za każdym pociągnięciem ramion. Jeden ruch i już byłam pięć metrów dalej.

Podczas całego pobytu na Goi ani razu nie słyszałam, żeby cokolwiek mówił, choćby w swoim języku do innych masażystów. Ostatniego wieczoru na wszelki wypadek poinformowałam go po angielsku, że następnego dnia wyjeżdżam. Stał do mnie plecami. Odwrócił się. W kurtce uwalanej olejem. Filigranowy czarnooki mężczyzna z przerwą między zębami. I przemówił. Jak przystało na prawdziwego mędrca, w dwóch słowach zawarł wskazówkę na całą resztę mojego życia:

– Necessity body.

Bombaj, lot powrotny. Zająłam miejsce przy oknie. Patrzyłam, jak

hinduscy tragarze uwijają się na płycie lotniska, wysypują z wózka nasze bagaże, przekazują je sobie z rąk do rąk. Ludzki łańcuch. W samolocie też byliśmy wszyscy jedną rodziną. Ubrany na błękitno mężczyzna wszedł na pokład, popychając przed sobą dwójkę dzieci. Trzymał ręce na ich włosach. Zafascynował mnie ten gest. Duży poklepywał pieśczośliwie po głowach swoje małe, jak koszykarz ulubione piłki. Czy ktoś oprócz moich rodziców darzył mnie takim uwielbieniem? Zajął miejsce obok mnie, a dzieci w rzędzie przed nami. Ktoś zaproponował, że się z nim zamieni, żeby mogli siedzieć razem (widać było od razu, że będą niesforne). Nie przyjął propozycji, tylko wskazując na swoich gagatków, obwieścił:

– Ależ ja pierwszy raz w życiu ich widzę.

Twarzyczki dzieci pojaśniały z uciechy i podziwu dla ojcowskiej przebiegłości.

Przez cały czas przed startem klęczały na siedzeniach odwrócone w naszą stronę i wyczekiwały na kolejne kawały ojca.

– Najwyższy czas się pożegnać, bo za chwilę wszyscy umrzemy – zapowiedział ze smętną miną. Było oczywiste, że nie mogły żyć bez jego poczucia humoru. Od razu mi wszystko opowiedziały. Że wracają z Cortalim na południu Goi, że mieszkają w Paryżu, że widziały delfiny. Ojciec milczał, czekając, aż jego mali szpiedzy wyciągną ze mnie kluczowe informacje: jak się nazywam, czy jestem sama i dlaczego, czy znam Cortalim, ile mam lat. To by dopiero była podróż z takimi urwisami! Szybciej niż się spodziewałam, wróciły jednak na swoje siedzenia i, całkowicie pochłonięte wybieraniem filmów, przestały dawać jakiegokolwiek znaki życia.

Gdy tylko zaległa cisza, obrzucił mnie badawczym wzrokiem.

– Nie wiem, czybym się zdecydował tak sam – powiedział. Nie sprecyzował, czy chodziło mu o podróż, czy o drogę przez życie. Przyglądał mi się, próbując zgadnąć, dokąd zmierzam. Nie wiadomo było, czy żartuje, czy dla fantazji, jak to czasami bywa, pozwala sobie na szczerość. Błękitny garnitur był uszyty z kory. Pachniał miętą.

Na monitorze pokazano, że przelatujemy nad Afganistanem. Ów ojciec dwójki dzieci, z obrączką na palcu, bez najmniejszego ostrzeżenia naparł wówczas na mnie klatką piersiową, żeby wyrzeć przez okno. Na

zewnątrz było ciemno, do tego jeszcze roleta była zaciągnięta. Nie było na co patrzeć. Mógł podziwiać co najwyżej jasnobezowy plastik, w żadnym razie zaś afgańskie łańcuchy górskie. Zachowanie tego leżącego na mnie i wpatrującego się w nicość mężczyzny było dla mnie w najwyższym stopniu niezrozumiałe. Był tak blisko, dotykał mnie udem, czułam jego puls w tym miejscu, jego klatka piersiowa unosiła się miarowo na moim brzuchu, rysami twarzy przypominał rzeźby Canovy, zmarszczki na jego skroniach świadczyły o chochlikowatych skłonnościach. Wrócił na swoje miejsce i oznajmił z niezmaconym spokojem:

– Pochmurno.

Też się pochyliłam ku zasuniętej rolecie, za którą widać było tylko marzenia.

– Przejaśni się – uspokoiliam go. Dwoje podróżnych przerzucających się absurdalnymi uwagami.

W Paryżu przed karuzelą bagażową uścisnął mi rękę.

– Szkoda – wymamrotał. U jego stóp baraszkowały dzieci, ogniwa łańcucha.

Co mnie podkusiło, żeby po powrocie do Paryża zabrać moje odmienione masażami ciało na jogę? Lekcje odbywały się pod przeszklonym dachem, wystarczyło się zapisać i zapłacić, zostawiało się rzeczy w szafce w szatni i brało z półki matę, nie zamieniając z nikim ani jednego słowa. Zamiast relacji nawiązywała się nieśmiała wspólnota. Niektórzy nie wysilali się nawet na tyle. Rozkładali matę, patrząc niewidzącymi oczami jak autystycy. Nawet przygotowania do ćwiczeń odbywały się samotnie.

Potem zjawiał się nauczyciel. Był bezkrwisty i pozbawiony jakiegokolwiek aury. Trudno go było uznać za wzór: wyglądał, jakby kij połknął. Jego postawa kojarzyła się raczej z wysiłkiem niż z harmonią. Miał kredowobiałe, czyste, pokryte pomarańczowymi zrogowaceniami stopy. We włosach nosił różowo-fiołkowo-brązową opaskę. Kolory na jego spodniach gryzły się ze sobą jeszcze bardziej.

Natomiast ruchom, które wykonywaliśmy, nie sposób było odmówić piękna. Już samo stanie i opuszczenie podbródka przy wydechu zmywało z człowieka całą brzydotę. W końcu zapominało się o

nauczycielu i jego nieestetycznych piętach. Kiedy podchodził, żeby poprawić niewłaściwe ułożenie ciała, słyszało się go z daleka, z bardzo daleka, podczas wynurzania się z głębi własnego oddechu. Kiedy rozluźniona broda, opadając do przodu, pociągała za sobą szyję, czuło się, że kark sięga korzeniami aż do zagłębień lędźwi, albo jeszcze dalej. Szyja wyginała się jak u konia czystej krwi. Jak na Goi. Każda część ciała po kolei była w ten sposób rozciągana, tak że po dwudziestu minutach było się zupełnie innym człowiekiem. Wyczyny te były przy tym pozbawione wszelkiego efekciarstwa. Także i pod tym względem nie było żadnego odniesienia do innych. Żadnego truchtania wokół maty, ostentacyjnego posapywania i klepania się po bokach. Jeśli komuś udawało się dotknąć głową stopy, zachowywał swoją satysfakcję dla siebie. Wciąż sam na sam ze sobą samym. Zdarzało się, że przy jakimś szczególnie trudnym ćwiczeniu, do którego nie miało się odpowiedniej budowy, trzeba było się poddać. Stało się wówczas nieruchomo z rękami wzdłuż tułowia, wciąż jednak nie zwracając najmniejszej uwagi na innych. Zachowując wobec nich wciąż tę samą obojętność.

O nie, to z pewnością nie była dyscyplina dla mnie: miałam po dziurki w nosie samotnych przyjemności.

Tymczasem Carlosa odsądzano od czci i wiary. Vionne zrobiła rewizję domowego komputera. Szukała drożnych e-maili, wiedzona intuicją, że koło Carlosa musi się kręcić inna kobieta, a wyprowadzka i walizka to tylko czubek góry lodowej. Że to na pewno romans. Słabo znała się na informatyce. Traf chciał, że zobaczyła na pasku menu przeglądarki zakładkę „Historia”. Kliknęła. Trafiła na nagłówki stron pornograficznych oglądanych na komputerze w ciągu ostatniego miesiąca. Rzecz jasna, mogły na nie wchodzić równie dobrze jej dzieci, syn lub córka. Na swoje nieszczęście poszła je o to zapytać. Historię moralnego upadku Carlosa przeszledzili więc, można tak powiedzieć, w rodzinnym gronie. Obejrzelili wszystkie filmy i policzyli wszystkie kliknięcia (trzydzieści) na link *Zdzira ssie nauczycielowi, żeby mieć lepszą średnią*. Film tak mu się spodobał, że dodał go do „Ulubionych”. Fakt, że był nauczycielem angielskiego, świadczył przeciwko niemu. Jak również to, że nie próbował nawet ukrywać, że jest zwyrodniałym psychopata.

Byłam jedną z niewielu, którzy jeszcze z nim rozmawiali. W jego obozie pozostali sami mężczyźni, którzy wcale się z tym zresztą nie afiszowali. Widywał się z Pierre'em w jakimś barze w Suresnes. Widziałam, jak rozpacza. Uważał się za łajdaka. Żal wylewał się z niego strumieniami. Tłumaczyłam, że nikczemne było raczej święte przymierze, które żona zawiązała przeciwko niemu z dziećmi:

– To o wiele gorsze, niż to, co zrobiłeś.

Przekonywałam, że każdy ma prawo do intymności, kryjówki, w której może, nie szkodząc nikomu, puścić wodze fantazji. Patrzył na mnie, jakby się zastanawiał, czy piłam. Kręcił głową z miną kogoś, dla kogo jest już za późno, kto już przyznał się do winy.

Wpadłam na Vionne w supermarkecie Monoprix. Tak gwałtownie ruszyła ku mnie z wózkiem, że myślałam, że mi go wpakuje w bok. Powściągnęła jednak swój szał o metr ode mnie:

– Wiesz już o Carlosie?.

W otoczeniu staników uświadomiła mi, jakim padalcem jest jej mąż.

– Nie dziwota, że nie ma na mnie ochoty, skoro takie świństwa chodzą mu po głowie! – Przeżywała: – Dzieci są w szoku. Któż chciałby to robić z normalną kobietą, naoglądawszy się takich okropieństw? Facet kierujący się najniższymi instynktami, niby wykładowca uniwersytecki, przyjmuje na konsultacjach studentkę, która w kółko robi mu laskę: na kolanach, na stojąco, na leżąco! To właśnie kręci Carlosa: obciążanie laski! Obciążanie laski w wykonaniu dwudziestoletniej dziewczynki, dziewczynki w wieku jego córki!

Wymawiała słowo „laska” piskliwym głosem przypominającym sygnał dźwiękowy używany w telewizji do zagłuszania brzydkich wyrazów.

– Gdyby przypadkiem się z tobą skontaktował, możesz mu wyjaśnić, że miłość to coś wyższego lotu. Dobrze się składa, że się spotkałyśmy: właśnie miałam do ciebie dzwonić, żebyś mu nagadała. Jesteś taka bezkompromisowa! – dodała.

Na każdej stronie obiecywano coś, czego nikt dotąd nie widział. A później oferowano nieodmiennie te same sprośności. Wyobraźnię pobudzały już same zapowiedzi na stronach startowych. Było tutaj

wszystko, podane pod nos. Proszono oczywiście o zalogowanie się. Wydawałoby się, że tylko ostatni naiwni wierzą, że podanie adresu e-mailowego pozwoli im otworzyć jeszcze bajeczniejszy sezam i dostąpić najwyższego wtajemniczenia. A przecież tylu ludzi to robi. Tylu jest łatwowiernych. Geniusz tego przemysłu polega na tym, że potrafi to wykorzystać. Jeśli ktoś idzie tutaj dalej, to nie po to, żeby wyjść poza siebie, lecz żeby się w sobie pogрузić. Uprawia coś w rodzaju jogi. Jest tak samo samotny.

Pewien mężczyzna powiedział mi kiedyś, że seks i komizm są nie do pogodzenia. Czym więc wyjaśnić niekłamana wesołość, którą wzbudzał we mnie widok tych spółkujących par? Mroki pornografii rozpraszała jakaś zbawienna śmieszność.

Mierność tego, co proponowano, stawała się przez to pociągająca. To po prostu musiało być aż tak głupie. Ta głupota miała jednak jeszcze drugie dno. Każde spojrzenie aktorów było nie tylko kompletnie bezrozumne, lecz także niosło ze sobą dodatkowy bonus w postaci czystego absurdu. Wszyscy chcielibyśmy stracić głowę z miłości. Tutaj zaś to marzenie staje się rzeczywistością. To nie zbliżenia strategicznych części ciała, lecz właśnie gwarancja zidiocenia jest największym atutem tej sztuki.

Siedziałam przed monitorem nieprzytomna z podniecenia. Napięcie wzrosło i dosięgło celu tak szybko, że aż niezauważalnie: ani na chwilę nie oderwałam rąk od klawiatury, nie wykonałam ani jednego ruchu biodrami. Najpierw uderzyło mi do głowy, a potem w błyskawicznym tempie zeszło w dolne partie – zanim zdążyłam o czymkolwiek pomyśleć.

Minh Chau – jadłodajnia w dzielnicy Marais. Tak mikroskopijnych rozmiarów, że jej właściciele podawali przyniesione z kuchni talerze klientom, przekazując je sobie z rąk do rąk ponad naszymi głowami. Siedziałyśmy we trzy rozrzucone po sali (o ile to w ogóle możliwe w takim miejscu) i wszystkie trzy jadłyśmy to samo danie – kurczaka w imbirze. Właśnie zamykano. Obie wietnamskie szefowe, matka i córka, stały przy czymś, co z trudem można było nazwać ladą, i używały sobie na ludziach przechodzących ulicą. Wszedł dość atrakcyjny mężczyzna, lecz napotkawszy nasze ciekawskie spojrzenia i szelmowskie miny

właścicielkę, wyszedł, jeszcze zanim zdążył się dowiedzieć, że kuchnia już nieczynna. Ubawiło nas to.

Kobiety z łatwością wchodziły ze sobą w relacje. Zaczęłyśmy rozmawiać ponad stolikami. Musiałyśmy oczywiście obgadać tego strachajkę, który uciekł na nasz widok.

– Przecież byśmy go nie zjadły – powiedziała ładna dziewczyna siedząca po mojej prawej stronie. I wszystkie w śmiech, bo przecież właśnie dokładnie to miałyśmy ochotę zrobić. A nawet połknąć go w całości. Rozmowa zeszła na temat męskiego strachu przed kobiecymi erotycznymi apetytami. Jedna z klientek pochodziła z Korei. W swoim kraju była zapewne bardzo dyskretną osobą. W jadłodajni Minh Chau dowodziła natomiast z przekonaniem, że mężczyźni nie mają pojęcia o prawdziwej rozpuście. To, czego się domagają, i to, co robią, nijak się ma do nawiedzających ją fantazji. Utrzymują, że jej opadające powieki doprowadzają ich do szaleństwa, lecz nawet osiągnąwszy szczyty swoich możliwości, są prości jak cep. Druga, ta ładna, zwierzyła się, że jej chłopak poprosił ją, żeby ujawniła mu swoje pragnienia. Wiedziała, po prostu wiedziała, że to się źle skończy. Że on tego nie udźwignie. Tak długo nalegał, dniem i nocą, że w końcu podała mu dla przykładu dwie czy trzy rzeczy, które by ją nęciły. I to z tych najmniej ryzykownych. Mianowicie: chciałaby mówić do niego, syna i wnuka hiszpańskiego komunisty, „Franco”. Usłyszawszy to, zastygł na łóżku w żałobnej pozie. Wiadomość o niewypłacalności jego banku nie byłaby dla niego równie druzgocącym ciosem. Co gorsza, wbił sobie do głowy, że musiała się tego nauczyć od innych mężczyzn, bo sama by przecież nigdy na to nie wpadła.

Popatrzyły w moją stronę. A ja? Jak było u mnie? Obie Wietnamki przysłuchiwały się naszej rozmowie, popijając jaśminową herbatę z kubków ze stali nierdzewnej. Wyznałam, że moja sytuacja jest nietypowa, bo od lat nie uprawiam miłości. Zapytały, czy mi tego brakuje. Odpowiedziałam, że w ostatnim czasie znowu zaczęłam odbierać wabiące sygnały. Że, być może, trzeba mi było tylko odpowiednich ramion. Że, być może, przyczajona we mnie łajdaczka tylko czeka na okazję. Wietnamki i obie klientki zagadały zgodnie, że to ja miałam z nich wszystkich najbardziej rozbuchaną wyobraźnię.

Rozdział 8

W wieku sześćdziesięciu czterech lat, po latach życia w rezygnacji – krainie leżącej dalej niż samotność – Axel zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Pokazywał mi w Lasku Bulońskim niezwykle drzewa, sekwoję i buk purpurowy, jakby urosły od jego nagle odzyskanego szczęścia. Pewną ręką wspierał się na moim ramieniu, pokrzepiony swoim zmartwychwstaniem. Spotkał ją w Deauville pod koniec zimy, w drobnym deszczu. Jakim cudem znalazła się na tej nudnej plaży, w znienawidzonym przez Axela Deauville (jeździł tam tylko po to, żeby pobyć z wnukiem) – nie wiadomo. Wyprowadzała psa, nie mogło być gorzej. Przeszła, nawet go nie zauważywszy, podczas gdy jemu zapadły w serce śródziemnomorski profil, detale à la *Gorzki ryż* i długie włosy z przedziałką na boku. Na przekór prozaiczności swoich sześćdziesięciu czterech lat zaryzykował:

– Nie powie mi pani nawet „dzień dobry”? – Odwróciła się. Musiała zrozumieć, że porwał się na coś niemożliwego. Lecz stał się cud: spotkał się z życzliwym przyjęciem. Spytała go, gdzie zapodział swojego (psa), zakładając, że nikt bez palącej potrzeby nie ruszyłby się z domu w taki deszcz. Zaprosił ją na wódkę z sokiem grejpfrutowym. Pies pobiegł przed nimi w podskokach.

Po powrocie do Paryża Axel odkrył, że ta kobieta go pożąda. Jakkolwiek nieprawdopodobne mogło się to wydać takiemu pesymiście jak on – był przekonany, że jego zęby nie nadają się do pokazania w towarzystwie, a po kieliszku lub dwóch wyliczał, czego mu z wiekiem ubyło – naprawdę chciała z nim to zrobić. Tłumaczył jej, że nagi mężczyzna w jego wieku to niezbyt piękny widok. Zupełnie niezbita tym z tropu odpowiedziała:

– Ciało nie ma być piękne, lecz fascynujące.

Popędził do lekarza po viagrę. Wypisując receptę, lekarz nie krył radości, a odprowadzając Axela do drzwi, poklepywał go poufale po plecach. Niestety viagra nie zadziałała. Lęk Axela okazał się silniejszy od chemii. Kusilo go, żeby sobie odpuścić, jednak niedługo. Przede

wszystkim ona, zamiast rozłożyć ręce nad jego oklapniętą męskością, powiedziała:

– Tak być nie może. Nie możesz tak żyć. To byłaby katastrofa dla wszystkich. – Po raz pierwszy w życiu dostał reprimendę, która dodała mu wigoru. Policzył, ile czasu zostało mu jeszcze do nadejścia prawdziwej starości. Przypomniał sobie słowa Coluche’a: „Czasami człowiek się zastanawia, czy istnieje życie przed śmiercią”. Pognał do seksuologa. Seksuolog był niski, okrągły i rubaszny i odniósł się do jego członka z taką samą energią i stanowczością. W podobnych przypadkach radził swoim pacjentom przyjmować viagrę codziennie, o różnych porach, do czasu aż pożądanie zacznie przybierać widoczne formy (na co zazwyczaj nie trzeba było długo czekać). To samo zalecił Axelowi. I udało się. Na rok przed emeryturą Axel wystartował niespodziewanie na widok swojej asystentki, która nie dość, że nie była kobietą z plaży, to jeszcze nie grzeszyła urodą, tyle tylko, że akurat była w pobliżu. Była dziesiąta rano, a on musiał przytrzymać się obiema rękami dystrybutora wody, żeby nie wypuściła z rąk teczek z dokumentami, którą przyciskała do piersi. Nie minęły trzy dni, a zamiast martwić się, że mu nie staje, zaczął się niepokoić, że nie ma najmniejszej kontroli nad tym, kiedy mu staje. Ta nieokiełznana żądza przyprawiła go o palpacje serca. Czyżby zawał? Ależ nie, po prostu wracała mu ochota! Pewnego popołudnia zadzwonił do kobiety z plaży i powiedział:

– Jadę do ciebie.

Następnego dnia rano nie potrzebował już niczyjej pomocy.

A ja? Czy dla mnie nie ma jakiejś cudownej pigułki?” – pytałam Henrietty, opowiadając jej o szczęściu Axela. Sprzedawała mieszkanie w szesnastej dzielnicy, w którym spędziła całe dzieciństwo, czekałyśmy razem na pana z agencji nieruchomości. W zimie umarła jej matka z powodu pęknięcia tętniaka. Siedziałyśmy w jej pokoju (jaki maciupki się teraz wydawał), tym samym, w którym kiedyś dokonywałam nadludzkich wysiłków, żeby nauczyć się łaciny, i próbowałam jej zaimponować. Była najwierniejszą z przyjaciółek: to ona przeczytała *Nocny lot*, żeby lepiej mnie rozumieć, choć panicznie się bała zarówno samolotów, jak i burzy. To ona któregoś dnia powiedziała: „Zamknij się, nie masz o niczym pojęcia”, do jednego z naszych kumpli, który ośmielił

się twierdzić, że nie jestem prawdziwą kobietą. Moja przyjaciółka, moja miłość. Kiedy uważano mnie za pariasa, potrafiła mnie podbudować i przekonać, że inność może być oazą. Nigdy mnie nie oceniała. Gromiła nie mnie, lecz innych, mówiąc: „To nie natura nie znosi próżni, to społeczeństwo, oni. A my społeczeństwo mamy gdzieś”. Albo: „Powinnaś wiedzieć, że tutaj nikomu nie pozwala się bezkarnie żyć w raju. Wiesz przecież, jacy oni są!” Albo: „Oni się tobie dziwią? To ty powinnaś się dziwić, że się na sobie odgrywiają, że wrzeszczą na siebie przy stole przy ludziach, i jeszcze nazywają to miłością!” Albo: „Nie robisz nic na ich oczach, więc myślą, że mogą cię pouczać. Ach, zadufanie ludzi czynnych seksualnie zawsze mnie wbijało w ziemię”. Znajdowała argumenty na każdą z moich linii obrony.

„Twoja pigułka to to, co masz w sobie – odpowiedziała. – To, co masz w oczach – zaryzykowała. Niepewnie machała nogami. Czyżby palnęła głupstwo? Zastanawiała się, czy w ten sposób otwarła, czy zamknęła temat. Byłam taka przeczulona, że rozdrażnić mnie mogło nawet piórko. Łatwo popadałam wówczas w skrajności. Henrietta zdawała sobie z tego sprawę: przeniknęła moje zwapniałe miejsca, moje ograniczenia. Taki miała zawód: wyciągała z gliny skarby, z których powstaje Historia. Codziennie przemierzała z latarką na czole korytarze, w których martwi przestali mieć nadzieję. Wydobywała z mroku to, co nieznanne. Potrafiła to wygrzebać nawet w telewizji, choć gardziła tym medium. Robiła to tylko dlatego, żeby dać szansę jej wizji świata.

Przypatrywała mi się z czułym wyzwaniem w kąciku ust, ciekawa, jak wiele zdołam zrozumieć. Tak trudno było mi przyjąć jej uwielbienie w tym dziecięcym pokoju. Wzruszyłam się, łzy wypełniły mi oczy aż po same brzegi. To, co mam w sobie. W oczach. Utajony mrok jako dar zesłany z nieba.

Carlos wrócił do żony. Nie potrafił unieść brzemienia winy, którym obarczyli go jego najbliżsi. Najpierw nikt nie chciał z nim rozmawiać, potem wszyscy naraz zaczęli mu robić wyrzuty, że się z nimi nie widuje, jakby to on ich bojkotował, a przecież to jego oszalałe, rozpaczliwe telefony całymi tygodniami pozostawały bez odpowiedzi. Spotykał się z dziećmi po kawiarniach. Jak w rozmównicy, oddzielała ich bowiem od siebie nieusuwalna krata lub szyba. Wkładał płaszcz, stawiał kołnierz,

żeby ukryć swoją zbolaną minę, i wychodził. Na plecach czuł ich pełne wyrzutu oczy, wbite w niego jak sztylety. Odwracał się. Lecz czekał go kolejny zawód, bo wcale na niego nie patrzyły. Rozmawiały przez telefon, odległe duchem od jego ciała. Prawdopodobnie ze swoją matką.

Do tego przygniotły go życiowe realia. Żona zapowiedziała, że separacja będzie go drogo kosztowała. Zaczęły go przerażać najniewinniejsze nawet wydatki. Miał wrażenie, że wciąż wystawia czeki: podpisywał je zdesperowany, zaszachowany. Przyznawał, że pieniądze skłaniają do refleksji.

Słowem, kwestia jego chęci zeszła na dalszy plan. Jeśli jeszcze o niej myślał, to tylko jako o czymś przynależnym jego żonie i dzieciom. Kluczową kwestią było teraz, czy one miały chęć przyjąć go z powrotem. Sytuacja się odwróciła. Zaczął nienawidzić kawalerki swojego kuzyna. Brzydził się niestałymi w uczuciach mężczyznami, przysięgał, że sam wyzbył się wszelkich zachcianek. Nade wszystko zaś piętnował miłośników filmów pornograficznych. O tym, że jego żona wmieszała dzieci w ich porażkę, nie wspominał ani słowem. Wziął na siebie całą winę.

Jego jedyna wątpliwość natury osobistej dotyczyła tego, czy będzie potrafił ją zadowolić. Jednak i w tej kwestii narzucił sobie właściwą postawę. Miał tyle dobrej woli. Ewentualnie mógł rozważyć podjęcie współżycia; dołożyłby wszelkich starań. Poprzez swoją niezgodę na małżeństwo z mężczyzną występny jego żona odzyskała poniekąd seksualną atrakcyjność. Po tylu latach przeżytych w schemacie, w którym to ona chciała, a on był znudzony, konieczność zabiegania o nią mogłaby rozniecić na nowo jego pożądanie. Potencja seksualna jego żony, która przedtem go przerażała i paraliżowała, natarczywość, z jaką domagała się erotycznego zainteresowania, teraz, gdy została przytłumiona urazą, zaczęła automatycznie zyskiwać na wartości.

Wrócił do domu prawie szczęśliwy. Później przez kilka miesięcy nikomu jakoś nie udawało się z nim skontaktować. Komu miałby powiedzieć, że dał się oszukać? Że dając swoim dzieciom nadmierną władzę nad sobą, stracił w ich oczach wszelki autorytet? Że zamiast cudownej metamorfozy żony, czekały go z jej strony tylko pretensje i drobne akty zemsty, których skutki najdotkliwiej odczuwała ona sama?

Komu miałby powiedzieć, jakie to było przygnębiające?

Tamtego roku nie zapraszano mnie już tak chętnie do siebie na lato. Skończyły się zrzutki, nie musiałam się już do niczego dokładać. Carlos, zanim zniknął w ciemnych krzewach swojego związku, poinformował wszystkich, że to ja bardziej niż ktokolwiek inny nakłaniałam go do emancypacji. Oczywiście mnie się to nie udało, niemniej stanowiłam zagrożenie jako ta, która sprowadza mężów na złą drogę, uczy ich niezależności, kusi ich zapachem nieznanymi możliwościami. Pokusa musiała być nie do odparcia, skoro budziła tak duży niepokój. Było to akurat w czasie, gdy z każdym dniem wyglądałam coraz bardziej kobieco. Kiedyś krytykowano moje ekscentryczne stroje; teraz niemal z żalem wspomniano moje szerokie spodnie. Zauważano, że umyślnie noszę czerwone paznokcie, obciślejsze spodnie, czółenka, w które przecież wcześniej kazano mi się zaopatrzyć. Że mam piersi, biodra, kostki u nóg. Dowody mojej przemiany migają nie tylko w lustrach, w których znów napotykałam swoją postać – zwiastowały wszystkim mój powrót. Miałam odbicie. Wróciłam.

Moje dawne umykające spojrzenie mogło uchodzić od biedy za dziwactwo charakteru. Jego obecna nieruchomość, będąca oznaką mojego zmartwychwstania, i śmiałość, której kiedyś wszyscy tak sobie życzyli, skazywała mnie na jeszcze gorszą banicję. Moja samotność była kalectwem. Moje obecne wyzwolenie miało przez to tym większą moc. Nie żądano już, żebym miała oczy wilczycy. Nawet oczy wilka byłyby teraz nie do przyjęcia. Pytano natomiast, czy chcę mieć dzieci, co, jak rozumiałam, musiało zakładać stały związek. Oczekiwano, że się ustatkuję. Koleżance z Bazylei, która wraz z mężem zasadzała się na moją cnotę i napastowała mnie w Parku Potworów, odechciało się gorszycielstwa, gdy tylko ów mąż, którego nagle przestała pociągać wizja miłosnego trójkąta, zaproponował mi spotkanie sam na sam w Paryżu (na które zresztą nie poszłam).

Kiedy chodziłam po ulicach, wszędzie napotykałam możliwości. Naprawdę! Odkąd widziałam mężczyzn, widziałam ich wszystkich. Jeden z nich w piekarni przetrząsał ubranie w poszukiwaniu drobnych. Kiedy wkładał rękę do kieszeni spodni, zdawało mi się, że to ja dotykam tych okolic, tych niewysłowienie miłych w dotyku miejsc.

Przypomniałam sobie silikonową piłeczkę, którą bawiła się pewna dziewczynka. Było to na samym początku mojego czasu wytchnienia, po wyjeździe w góry. Położyła mi ją na dłoni, żebym sama się przekonała, jaka jest przyjemna. Jej ulubiona zabawka. Uderzyła mnie aksamitna gładkość piłeczki, której nie sposób było pomylić z niczym innym – przeraziłam się, że dziewczynka w tym wieku znajduje w niej upodobanie.

Nic nikomu nie powiedziałam. Od czasu do czasu, słysząc niewinne uwagi bliskich, uświadamiam sobie, jak wielka to tajemnica. I dobrze. Intymność powinna być tajemnicą. Wpadłam na niego przypadkiem, przejeżdżając samochodem koło Les Invalides, kiedy przechodził przez ulicę. Zabrałam go ze sobą, tak było najprościej. Trzeba było zdecydować, w którą stronę jedziemy. Akurat tak się złożyło, że ani on, ani ja nigdzie się nie wybieraliśmy.

Nie wiem, czy więzy małżeńskie są święte, czy nie, wiem tylko, że powstały i istnieją poza mną. Nie ukradłam tego mężczyzny. Wzięłam go sobie, żeby latać. Chciałam zacząć od nowa ze swoim ciałem. Rozpostrzeć się. Rozewrzeć łopatki jak na Goi. A on to odgadł. Myślał o tym od miesięcy. Za każdym razem, kiedy mijał moją ulicę, powstrzymywał się, żeby do mnie nie zadzwonić.

Pojechaliśmy do mnie.

Obejrzał moje mieszkanie, spodobało mu się. Jakby to miało jakiś związek, spytał, co by było, gdybyśmy się w sobie zakochali, i stwierdził, że byłoby to katastrofą dla tylu osób. Nie wymieniliśmy nikogo konkretnie, ale w głębi duszy pomyśleliśmy o tych, których unieszczęśliwimy.

Stał przed moim łóżkiem, niezwykle spokojny, miał w sobie coś ze stałości wieśniaka.

Uprzedzałam:

– Wiesz, całe lata tego nie robiłam, całe lata tuliłam poduszkę, głaskałam maki i pieściłam wzrokiem marmur, odurzałam się fantazjami. Nie mam życia osobistego.

Odpowiedział:

– Wierz mi, życie osobiste to nie to, co robimy, tylko to, czego nie robimy.

Uprzedzałam, że jestem wystraszona, że wstyd mi, że w moim wieku nie pamiętam najprostszych rzeczy, że doskonale wiem, jak zażenowani się czują ludzie ogarnięci niemocą, że, dobry Boże, to wszystko, co wiem.

Odpowiedział:

– Kiedy miałem sześć lat, patrzyłem, jak mój brat przesuwa palec nad płomieniem, nie robiąc sobie żadnej krzywdy. Przekonywał mnie, że to łatwe. Choć tyle razy widziałem, jak to robi, i sam zbliżałem rękę do płomienia, w końcu zawsze ją cofałem. Podejrzewałem, że ma jakiś magiczny płyn. Uwielbiał popisywać się przede mną sztuczkami, które wyczarowywał z pudełka z napisem „Mały czarodziej”. Któregoś razu jednak spróbowałem. Miał rację: to było naprawdę łatwe, a ogień miał w sobie jakiś nieodparty czar. Potem robiliśmy to bez przerwy.

Nie ustępowałam jednak:

– Naprawdę cię uprzedzam: tyle śmiałych scen rozegrało się tylko w mojej głowie, tyle rozkoszy było nie dla mnie, nawet tańcząc, kłamałam przestrzeni. Obawiam się, że oczekuję zbyt wiele. Uważaj, jeśli się zbliżysz, zbliżysz się do kobiety niepewnej.

Podszedł do mnie jednak i... jakże spiesznie, gdy tylko mogłam, położyłam rękę tam, gdzie jej tak dawno nie było. To, czego dotknęłam, zupełnie mnie uspokoiło.

Przypisy

[1] Emmanuelle Laborit (ur. 1971) – francuska głuchoniema aktorka filmowa i teatralna (przyp. tłum.).

[2] Po francusku *patient* znaczy „pacjent”, a *patienter* – „cierpliwie czekać” (przyp. tłum.).

[3] Fragment wiersza *Je t'aime* Paula Éluarda (przyp. tłum.).

[4] W Beaune w Burgundii znajduje się zabytkowy zespół szpitalno-opiekuńczy (przyp. tłum.).

